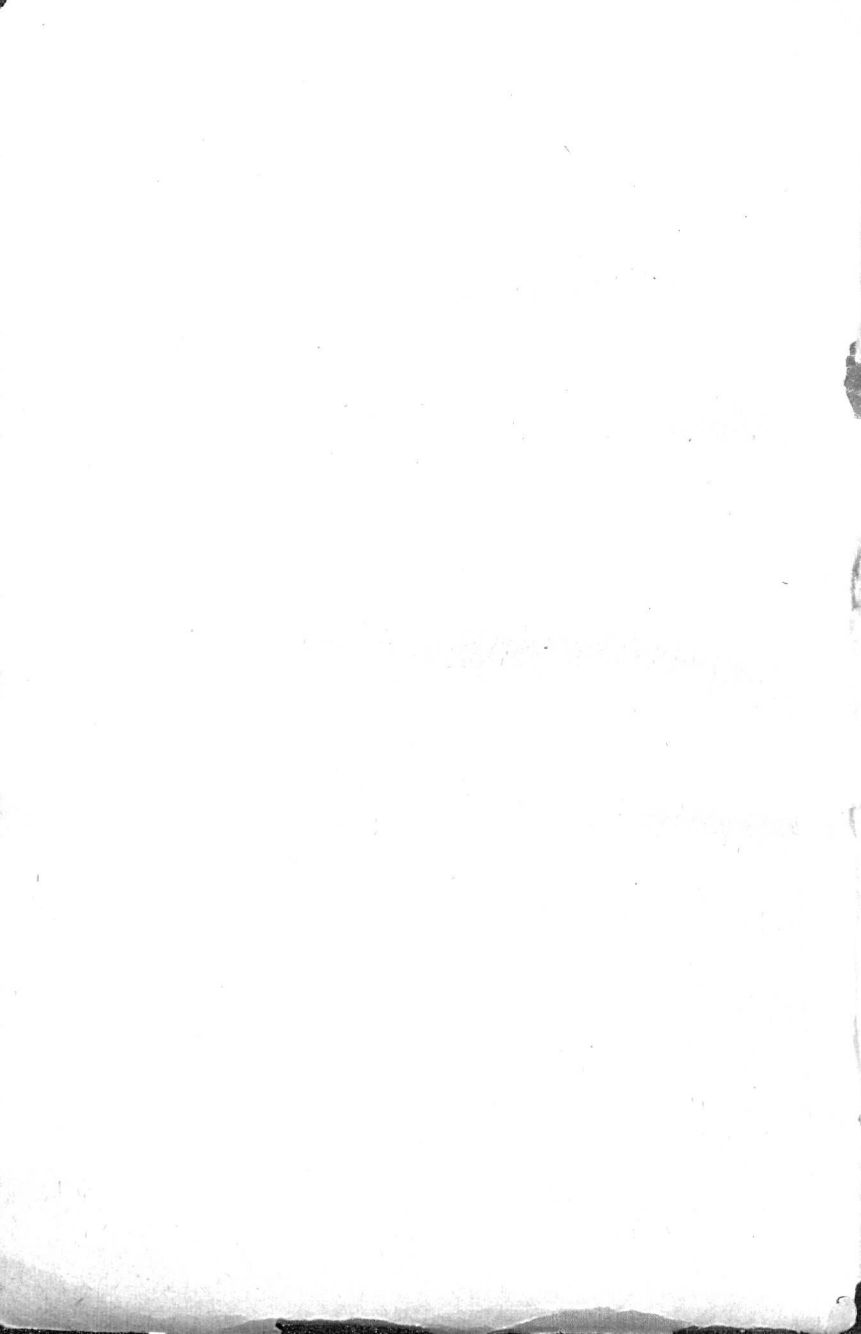


B.D.I.C

SKARBIEC

PARYŻ

N° 2 — Czerwiec 1918 r.



DODATEK MIESIĘCZNY DO «POLAKA»

B.D.I.C

SKARBIEC

PARYŻ

N° 2 — Czerwiec 1918 r.

Administracja : 5, rue Godot-de-Mauroy — Paryż



JAN HENRYK DĄBROWSKI

W stuletnią rocznicę zgonu

W ponury poranek 19 października 1813 r. zginął w wartkich falach Elstery w pełni sił ks. Józef Poniatowski. Dnia 15 października 1817 r. zmarł w zaciężnej Solurze sędziwy Naczelnik, Tadeusz Kościuszko. Dnia 6 czerwca 1818 r. zgasł zdala od zgiełku życia publicznego w Winnogórze senator-wojewoda Jan Henryk Dąbrowski, ostatni Wódz Narodu, ostatni wielki wojownik w tym okresie wysoko falujących nadziei polskich, «obfitym w zdarzenia, nadzieją brzemiennym», ostatni szerokiej miary organizator siły narodowej polskiej na przelomie czasów, w których Polska z upadku głębokiego potężnym wysiłkiem dźwigała się ku odrodzeniu. Był podobnie jak książę Józef, jak Kościuszko, z którymi w równych warunkach z orężem w ręku podtrzymywać usiłował Ojczyznę, tonącą w odmętach zachłannej Europy, jedną z tych postaci jasných, które szeroką smugę wysiłku myśli i pracy żłobią w ogólnem falowaniu wydarzeń naszych oczyszczonych dziejów.

Wystąpił jako indywidualność, jako zjawisko o ostrych konturach od pierwszych chwil swojej służby

w narodowych szeregach — na tle ówczesnego stanu sprawy polskiej, kiedy to naród stanął na rozstajnych drogach. wybierał pomiędzy przymierzem z Rosją, ciężką łapą spoczywającą na ziemiach polskich, a natarczywie narzucającą się i tyle potem zawodną przyjaźnią pruską, spoglądającą pożądliwie na wielkopolskie rubieże. Lecz wojskowe zdolności Dąbrowskiego, jego talenty kwalifikujące go na stanowisko niepospolitego wodza zajaśniały w całej pełni podczas najazdu pruskiego na Warszawę, gdy Kościuszkowskie Powstanie, broniąc Polski Trzeciego Maja, niespodzianie stanęło wobec wrogich zastępów nowego przeciwnika. Obrona Warszawy, wyprawa wielkopolska Dąbrowskiego okazały dowodnie, że ten «Niemiec», z saskiej służby wyniósł nie-tyle język polski nadpsuty, ile uratował serce zdrowe Polaka, duszę gorącym owianą duchem patriotyzmu, wiedzę i wybitne zdolności militarne.

Dąbrowskiego nieśmiertelną zasługą jednak pozostanie po wsze czasy urzeczywistnienie myśli legjonowej, myśli skupienia siły militarnej polskiej poza granicami kraju, złączenia chorągwi polskich z orłami francuskimi, aby uzyskać pomoc wzajemną, aby z tego przymierza wynieść sposobność wywalczenia upragnionej niepodległości własnej Ojczyźnie.

Musiał wpieryw twórca Legjonów polskich, po ciężkich zawodach lat ostatnich, po katastrofie Kościuszkowskiej, po trzech kraju rozbiorach zadać sobie pytanie ważkie: «Z kim się łączyć? Z kim zespolić losy własnego narodu? Jego niespożyty zasób energii nie pozwalał mu przypatrywać się bezczynnie położeniu kraju, godzić się z istniejącym stanem rzeczy, poświęcić Ojczyznę potrzebującą ra-

linku i porzucić myśl o niepodległej Polsce. Przez
 ność liczyć nie pozwalała na poparcie żadnego z
 sąsiadów, uczestniczących w łupie rozewiartowanej
 Polski. Rozum wskazywał i uczucie narodu zalecało
 zapukać o pomoc mocarstwa zachodniego, demo-
 kratycznej Francji, staczającej ciężkie walki z groźną
 Koalicją europejską. Tak powstały Legjony. Po-
 wstały w konstelacji politycznej Europy, sprzyja-
 jącej poczynaniom Dąbrowskiego, mogły być ode-
 grać rolę ważną i urzeczywistnić zamiar, który je
 wywołał, miały swoje uzasadnienie głębokie w ta-
 kiej chwili historycznej, która się nie powtarza często,
 może nigdy już nie powtórzy. A przecież zaszły
 wydarzenia, od Dąbrowskiego niezależne, które
 sprawiły, że nadzieje pokładane w Legjonach się
 nie ziściły. Pozostała jednak po nich ta świetna
 szkoła wojskowa, którą żołnierz polski w bojach
 swoich przechodził pod znakomitem dowództwem
 Dąbrowskich, Kniaziewiczów, Kosińskich, Fiszerów.
 Pozostały wzorowe kadry armji polskiej, która przy
 boku Napoleona wywalczyła w r. 1807 Księstwo
 Warszawskie. Pozostał piękny duch żołnierza-oby-
 watela, co długo jeszcze glebę polską użyźniał po
 przebrzmiałych echał burzy Napoleońskiej. Pozo-
 stała siejba zasad demokratycznych, których Legjony
 były ogniskiem gorejącem.

Wskrzeszone szczękiem broni nad Wartą i
 Wisłą Księstwo Warszawskie, pomnożone o
 zabór galicyjski w kampanji austriackiej, najgorętsze
 obudziło nadzieje narodu na dalsze rozszerzenie
 granic. Dąbrowski, mimo głębokich rozczarowań
 wywołanych w Legjonach przez Luneville, San Do-
 mingo i Campo Formio, nie wahał się w tym no-

wym okresie sprawy polskiej stanąć przy boku Napoleona w walce przeciw uczestnikom rozbiorów Polski, najpierw Prusom, następnie Rosji, licząc na wydarcie z pomocą Napoleona zagarniętych ziem polskich. Po świetnem zorganizowaniu drugiego Powstania Wielkopolskiego, przyćmiony rosnącą sławą ks. Józefa, ten siwy wódz legjonowy, zaprawiony w długoletnich walkach na szerokim świecie, doświadczeniem bogaty, teraz usunięty nieco na ubocze, świadkiem być musiał, jak katastrofa r. 1812 zadała cios najgorętszym jego marzeniom, zniweczyła całe założenie, na którem nietylko on, lecz cały naród budował przymierze oręża polsko-francuskiego: zwycięstwo Napoleona. Kampanja saska, rozprawa lipska była już tylko dalszemi etapami dramatu, niszczącego wszystkie rachuby oparte na Francji. Dąbrowski po śmierci ks. Józefa miał smutny obowiązek odprowadzenia szczątków armji polskiej, szczątków czterdziestu pułków polskich do kraju, mającego niebawem według kombinacji Kongresu wiedeńskiego nowe zgoła otrzytać kształty bytu prawnopañstwowego. Dąbrowski, i w tych warunkach jeszcze szukając sposobu wyjścia, nie wypuszcza sprawy wojska polskiego z rąk swoich, jest głównym organizatorem w okresie ogólnej niepewności politycznej, kiedy wojna pomiędzy Rosją a Prusami o Wielkopolskę zdawała się wisieć w powietrzu, zabiega o zachowanie polskiej siły zbrojnej dla obrony kraju i rządu konstytucyjnego Królestwa Polskiego, choć ciągle mieszanie się «naczelnego wodza» wojska polskiego, W. Ks. Konstantego, w jego sprawy wewnętrzne charakter ów odrębny i jego właściwe przeznaczenie stałe unicestwiał.

Najpilniejszą potrzebą w chwili rozdarcia ziem polskich było zestrzelenie sił polskich luzem idącymi, podniesienie nadwałłonej wiary we własne siły, przygotowanie energii wybuchowej na taką chwilę, któraby zamiarom i żądaniom polskim była jak najprzyjaźniejsza. Poznał odrazu bystry umysł Dąbrowskiego tę potrzebę naczelną, a choć odsunięto go niebawem od bezpośredniego wpływu na tok wydarzeń publicznych, w ustroniu winnogórskim lub na kwaterze warszawskiej wskazywał na konieczność «utrzymania ducha narodowego», «ożywienia działalności swego narodu». Myśli starego wodza-legjonisty, któremu po śmierci Kościuszki przypadła naturalnym biegiem rzeczy buława hetmańska w narodzie, moralne przewodnictwo w kraju, słuchali z szacunkiem liczni towarzysze broni, ziarna rzucone zapadały głęboko w serca. Dąbrowski, na schyłku skołatanego życia dziwną świeżością umysłu oceniając położenie kraju, pojął odrazu, że lepsze od rozbicia na trzy części jest zebranie wszystkich ziem Polski pod jednym dachem. Rozważania jego spotkały się z zamiarem zgarniania ziem polskich Aleksandra, głównego reżysera na teatrze wypadków europejskich od pokonania Napoleona, w Królestwie Polskiem mającego za sobą silny obóz polityczny pod przewodnictwem Lubeckiego. Gdy zamysły te pogrzebał zwrot w liberalnej polityce Aleksandra, gdy ją aniemożliwił dziki i nieokiełznany umysł Konstantego, gdy poczęły się zbliżać nieomylnie ptaki burzy listopadowej, nad grobem Dąbrowskiego szumiały już lat dziesięć przeszło jesienne liście.

Dąbrowski będzie dla nas wzorem żołnierza-idealowca, przykładem świętym, jak w każdej, choćby

najtrudniejszej dla kraju chwili, krzesać siły narodowe, podnosić ducha, nie popadać w zwątpienie. Uderzającą jest w nim mnogość iniejaływy, samodzielnej myśli, dostosowanie szybkie do zmienionych warunków środków narodowej obrony, trafna ocena realnych warunków, wśród których w zmienionej kolei wydarzeń narodowi działać przypadło. Kościuszko — najpełniejsze wyobrażenie idei niepodległości, całości i niepodzielności. Książę Józef — uosobienie rycerskości, bohaterskiego obrońcy honoru narodu, który w ostatniej chwili pragnie pięknie umrzeć za Ojczyznę. Dąbrowski — przykład bezustannie czynnej energii narodowej, nieustrudzonego poszukiwania nowych środków dla odzyskania niepodległego bytu. Każdy zakrojony na miarę wielkiego wodza, wielkiego patrioty, a przecież każdy odrębnymi cechami szacowny.

W spuściźnie po Kościuszcze otrzymaliśmy *Poemat Raclawicki*, budzący wśród szczęku kos lud polski z ocknienia. Poniatowski pozostawił po sobie *Rapsod Ulański*, nieśmiertelnem pięknem nasycający serca polskie, po Dąbrowskim pozostała urokiem niewysłowionym owiana *Legenda Legjonów* jako promienny wyraz służby orężnej dla ojczyzny aż do ostatniego tchnienia. Z *Legendy Legjonów* niby ze źródła niewyczerpanego piło pokolenie po pokoleniu nektar ożywczej mocy ducha, nieugiętej i niezłamanej żadnymi przeciwnościami. Legenda ta i dziś w sto lat po zgonie swego twórcy żyje w naszych sercach i drga i pulsuje w rytmie nieśmiertelnych strof o «Tej, co nie zginęła». Ta wielka, niezniszczalna zawartość ideowa tradycji legjonowej mogła się tylko zrodzić z czynu o tejże samej ide-

owej czystości, wolnego od kompromisów oportunistycznego. Legjony Dąbrowskiego powstały zdala od kraju, zajętego przez mocarstwa rozbiornicze, i właśnie dlatego jedynie zachowały tę niepodległość ducha, ten lot orli, nie zniżający się ani na chwilę. Wśród przejść najcięższych, wśród upokorzeń nawet bolesnych, zasadnicza idea walki za Polskę całą, niepodległą świeciła jak gwiazda polarna tułaczom-żołnierzom i dodawała im tej siły nadludzkiej, która świat cały zmuszała do podziwu i szacunku.

Stąd też pada światło wielkości bohaterskiej i uwielbienia narodowego na postać Dąbrowskiego. Wszedł on w poczet tych największych, którzy w Panteonie historii polskiej pierwsze zajmują miejsce. I dopóki jedno serce polskie bić nie przestanie, dopóki nie skona ostatni dźwięk pieśni « Jeszcze Polska nie zginęła », dopóty imię Henryka Dąbrowskiego żyć będzie, jako palladium wiary niezachwianej w siły i przyszłość narodu.

*
* *

Dąbrowski przyszedł na świat dnia 29 sierpnia 1755 roku w Pierzchowie, w powiecie bocheńskim, w ziemi Krakowskiej, jako syn Jana Michała Dąbrowskiego, podpułkownika wojsk saskich, i Marji Lettow. Po wczesnej bardzo śmierci matki chował się u krewnych Kępieńskich, póki ojciec nie wziął go do Saksonji. Miał Dąbrowski wówczas lat jedenaście. Chłopięciem opuścił Polskę i dopiero po latach dwudziestu pięciu powrócił do niej, jako mąż dojrzały. Na obczyźnie zawarł też pierwsze śluby małżeńskie z panną Gustawą Rackel z Loga pod Bolesławcem. Z miłego, zasobnego dworku drez-

deńskiego i z służby saskiej wydobyły Dąbrowskiego usilne starania rodaków, pragnących gorąco pozyskać go dla służby w kraju.

Po chwilowem wahaniu się, dzięki szczególnie wysiłkom marszałka Stanisława Małachowskiego i zabiegom samego króla, porzucił Dąbrowski służbę saską i przeszedł pod ojczyście znaki. Dnia 14 lipca 1792 roku, jako wice-brygadjer wpisanym został do pierwszej brygady wielkopolskiej generała Arnolda Byszewskiego. Zadzierzgnęły się pierwsze węzły łączące Dąbrowskiego, aż do śmierci z ziemią wielkopolską.

Pracę w kraju rozpoczął Dąbrowski od zaprowadzenia ładu i karności w szeregach. Nie zyskała mu ona początkowo sympatji, jak i pierwsze lata, nie zabrakło zawistnych, posuwających swą niechęć aż do zarzutów zdrady. Czyny były najwymowniejszą odpowiedzią na niegodne podejrzenia. Poznał się na Dąbrowskim Kościuszko, ocenił jego zdolności wojskowe i charakter. Mianował go generałem, powierzył obronę Warszawy od strony Powązek, gdzie ważyły się losy stolicy a po bitwie zwycięskiej, której główna zasługa przypada na Dąbrowskiego, wręczył pierścień z napisem « Ojczyzna obrońcy swemu ».

Był to pierwszy szczebel do grodu sławy. Wkrótce po odstąpieniu wojsk pruskich i rosyjskich od Warszawy, wyruszył Dąbrowski z rozkazu Kościuszki na pamiętną wyprawę do Wielkopolski, która świeżą okryła go chwałą. Na czele kilkutyśiecznego oddziału dokonywał śmiałych napadów, staczał zwycięskie potyczki, zdobył Bydgoszcz, pobiwszy Szekely'ego. Ciekawé szczegóły tej kampanji podaje

współczesna *Gazeta południowo-pruska*, drukowana w Poznaniu, niemniej sam Dąbrowski pozostawił nam jej opis, drukowany po niemiecku 1796 r., później wydany przez Ed. Raczyńskiego p. t. *Wyprawa gen. J. H. Dąbrowskiego do Wielkiej-Polski w r. 1794 przez niego samego opisana*. (Poznań 1839).

Kłeska maciejowicka wytrąciła Dąbrowskiemu oręż z ręki, lecz nie na długo. Przymuśowo trzymany w Warszawie, w tych czarnych godzinach rozpaczy całego narodu, nie zwątpił, nadziei nie stracił. Wierzył... i szerokie zakreślał plany na przyszłość... Powstała myśl Legjonów. Odtrąciwszy zabiegi rosyjskie i pruskie, dążące do usidlenia go w obcych armjach, wyruszył zagranicę, ożywiony jednym tylko pragnieniem: « pracowania i poświęcenia się dla sprawy ». I rozpoczął służbę « dla sprawy » pod nowym znakiem — znakiem Legjonów.

Po ugodzie zawartej z Francją, z Medjolanu odezwał się do rodaków: « Polacy! Nadzieja powstaje... Legjony polskie formują się we Włoszech, na tej ziemi, niegdyś świątyni wolności... Przybywajecie koledzy... Bijmy się za sprawę wspólną wszystkich narodów, za wolność, pod walecznym Bonaparte, zwycięzcą Włoch... Tryumfy Rzeczypospolitej Francuskiej są naszą jedyną nadzieją, za jej i jej aljantów pomocą może jeszcze zobaczymy domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili! »...

Odezwa Dąbrowskiego znalazła oddźwięk w sercach, śpieszono ze wszystkich stron Polski pod znaki Legjonów. Świeciła wszystkim jasna gwiazda nadziei, że z wodzem na czele przejdą « z ziemi włoskiej do Polski »... Tymczasem widziały ich pola

bitew pod Civita, Castelana i Novi, wkroczyli zwycięsko do Rzymu, a potem u stóp Francji składali zdobyte sztandary. Mimo swych zawiedzionych nadziei były Legjony źródłem, z którego naród zebrał zaczerpnął ożywczych sił. Z nich zrodziła się ta pieśń wiary, głosząca narodowi i całemu światu: « Jeszcze Polska nie zginęła ». « Jak gołębica do arki Noego leciał ten głos do Polski, niosąc pierwsze słowa pokrzepienia i zachęty, budząc uśpione, wskrzeszając umierające uczucia ». I głos jej nie zamilkł po dziś dzień...

Rok 1806 powołał Dąbrowskiego znów do boku Napoleona. Na wezwanie cesarza, pośpieszył z Włoch do Berlina, gdzie słowa Napoleona wlały w niego nowe nadzieje. Pełen wiary podążył do Poznania, witany radośnie. « Pod Poznaniem — pisze Wybicki — czekano na nas z pochodniami, bośmy umyślnie nocą chcieli wjechać, ale wielu dystyngowanych obywateli, wyprzągłszy konie, ciągnęło powóz z nami aż do domu Mielżyńskich gdzie stać mieliśmy ». Wzruszenie ogarnęło wszystkich. « Któż jest w stanie opisać te gody, tę radość i ten zapał, jakie cały ogarnęły naród? — pisze w wspomnieniach swych kasztelan Barzykowski. Mężowie, starcy i niedorostki, panowie i szlachta, mieszczenie i kmiecie, wszyscy bez wyjątku cisnęli się w szeregi ». Składano hojne ofiary na rzecz formującego się wojska: kobiety ochotnie na cel ten oddawały klejnoty. Zbrojono się, stawano do szeregu ale zarazem przyjmowano uroczyste wodza. W ratuszu poznańskim odbył się bal świetny, na którym p. Barbara Chłapowska, córka podczaszego poznańskiego i właściciela Śmigła, zwróciła się do generała, prosząc by wpływami swemi

zechciał wyjednać uwolnienie brata Stanisława z niewoli pruskiej. Dąbrowski zapisawszy prośbę odrzekł, że imię brata zapisał w notatniku, « a asińdżkę w sercu ».

W rok też później, wróciwszy z kampanji 1807, okryty nową chwałą w bitwie pod Tczewem i Frydlandem, stanął z p. Barbarą Chłapowską na ślubnym kobiercu. Ślub odbył się w katedrze poznańskiej dnia 5 listopada.

Po ślubie zamieszkał Dąbrowski na Winnogórze, darowanej generałowi zwycięskiemu przez Napoleona jako wynagrodzenie za rodzinny Pierzechowiec, sprzedany na rzecz Legionów 1797 roku. Kampanja 1809 r. powołała go znowu pod broń, a później rok 1812. Ostatnie lata życia spędził Dąbrowski częściowo w Warszawie, gdzie pracował nad organizacją wojsk Królestwa Kongresowego, częściowo w Winnogórze. Tu dnia 6 czerwca 1818 r., zmarł pogrążając naród w żałobę.

Pogrzeb uroczysty wodza Legionów odbył się w Winnogórze dnia 13 czerwca.

W kilkanaście dni po pogrzebie, dnia 26 czerwca, odbyło się nabożeństwo żałobne za duszę Dąbrowskiego w katedrze poznańskiej, urządzone staraniem obywatelstwa. Mszę, « uświetnioną muzyką żałobną Kozłowskiego przy dobranej orkiestrze » odprawił kanonik Miaskowski. Mowę żałobną powiedział kanonik Kawiecki, a po nim przemawiali jeszcze gen. Umiński i Hyjacynt Zakrzewski. W obrzędzie żałobnym, jak donosi *Gazeta W. Ks. Poznańskiego*, uczestniczył namiestnik Radziwiłł z małżonką i córką Elizą, która podczas mszy « uzbierała dla ubogich składkę 310 tal. »; brali dalej w niem udział prezes naczelny

Zerboni di Sposetti, wszystkie władze miejscowe, urzędnicy i obywatele najznacniejsi z całego Księstwa.

«Także młodzież szkolna — pisze *Gazeta W. Ks. Poznańskiego* — tutejszego gimnazjum, za staraniem uczniów klas wyższych, pp. Bieczyńskiego, Czap-
skiego i Szczanieckiego, wyprawiła dnia poprzedza-
jącego 25 b. m. żałobne nabożeństwo za duszę tego
znakomitego męża w tutejszym kościele pafafjalnym.

«Odbchód ten zaszczytliwi bytnością swoją: JW. Senator W. Działyński, JW. Gorzeński, JW. Gen. Umiński i wiele znakomitych Dam i Obywateli.»

Zwłoki generała Dąbrowskiego złożono pierwotnie w podziemiach kościoła winnogórskiego. W roku 1863 przeniesiono je do kaplicy przybudowanej do kościoła staraniem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Spoczywają w kamiennym sarkofagu, na którym jedyny napis: *Henryk Dąbrowski..*

I do tego przybytku świętego pielgrzymuje dziś myśl całego narodu. Budzą się echa przedwiekowe czynów i sławy. ...I kornie przed prochami Wodza chylą się czoła. Tego Niemcy zabronić nie mogą.

Cześć bohaterowi!

(*Kurjer Poznański.*)

Adam MICKIEWICZ

POWIEŚĆ WAJDELOTY

— Wyjątek z «Konrada Wallenroda»

Litwin Walter Alf pojmany dzieckiem w niewolę, wychował się wśród Krzyżaków. Patrząc na sputoszenia, mordy i pożogi, jakie Krzyżacy szerzą ciągle na Litwie, doznaje straszego bólu i postanawia ocalić ojczyznę swą od zagłady. Ale znana mu jest potęga Zakonu. Wybiera tedy podstęp, jako środek walki. Przybiera nazwisko Konrada Wallenroda, kryje się ze swymi zamysłami, udaje gorliwość, a w dwanaście lat później, zostaje wielkim mistrzem Zakonu. Nadeszła teraz chwila zemsty: pod pozorem nowej wyprawy na Litwinów należy na Krzyżaków urządzić zasadzkę i wymordować ich. Ale Konrad zwleka. Wówczas Halban, także Litwin z pochodzenia, przyjaciel Konrada i kapelan Zakonu, przebiera się podczas jednej z uczt za Wajdelotę (pieśniarza litewskiego) i śpiewa następującą powieść, by pobudzić Konrada do czynu.

Skąd Litwini wracali? Z nocnej wracali wycieczki;
 Wieźli łupy bogate w zamkach i cerkwiach zdobyte.
 Tłumy brańców niemieckich z powiązanymi rękami,
 Ze stryczkami na szyjach, biegą przy koniach zwy-
 [cieżców:

Poglądają ku Prusom i zalewają się łzami,
 Poglądają na Kowno — i polecają się Bogu. [runa,
 W mieście Kownie pośrodku ciągnie się błonie Pe-
 Tam książęta litewscy, gdy po zwycięstwie wracają,
 Zwykli rycerzy niemieckich palić na stosie ofiarnym.
 Dwaj rycerze pojmani jadą bez trwogi do Kowna:

Jeden młody i piękny, drugi łalami schyłony,
Oni sami wśród bitwy, hufce niemieckie rzuciwszy,
Między Litwinów uciekli; książe Kiejstut ich przyjął,
Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.

Pyta z jakiej krainy, w jakich zamiarach przybyli?
„ Nie wiem, rzecze młodzieniec, jaki mój ród i na-
[zwisko,

Bo dziecięciem od Niemców byłem w niewolę schwy-
[tany.

Pomnę tylko, że kiedyś, w Litwie, wśród miasta wiel-
[kiego

Stał dom moich rodziców. Było to miasto drewniane,
Na pagórkach wyniosłych, dom był z cegły czerwonej;
Wkoło pagórków na błoniach puszcza szumiała jod-
[łowa,

Środkiem lasów, daleko, białe błyszczało jezioro.

Razu jednego, w nocy, wrzask nas ze snu przebudził,
Dzień ognisty zaświtał w okna, trząsały się szyby,
Kłęby dymu buchnęły po gmachu; wybiegliśmy w
[bramę,

Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się gradem;
Krzyk okropny: do broni! Niemcy są w mieście, do
[broni!...

Ojciec wypadł z orężem, wypadł i więcej nie wrócił,
Niemcy wpadli do domu. Jeden wypuścił się za mną,
Zgonił, porwał mię na koniu. Nie wiem, co stało się
[dalej:

Tylko krzyk mojej matki długo, długo słyszałem...
Pośród szczęku oręża, domów runących łoskotu,
Krzyk ten ścigał mię długo, krzyk ten pozostał w
[mem uchu.

Teraz jeszcze gdy widzę pożar i słyszę wołania,
Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini

Za odgłosem piorunu... Oto jest wszystko co z Litwy
Co od rodziców wywiozłem. W sennych niekiedy
[marzeniach.

Widzę postać szanowną matki i ojca i braci:
Ale coraz to dalej jakaś mgła tajemnicza,
Coraz grubsza, i coraz ciemniej zasłania ich rysy.
Lata dzieciństwa płynęły, żyłem wśród Niemców jak
[Niemiec,

Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano:
Imię było niemieckie, dusza litewska została,
Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść.
Winrych, mistrz krzyżacki, chował mnie w swoim
[pałacu,
On sam do chrztu mnie trzymał, kochał i pieścił jak
[syna:
Jam się nudził w pałacach, z kolan Winrycha ucie-
[kał

Do Wajdeloty starego. Wówczas, pomiędzy Niemcami,
Był Wajdelota litewski wzięty w niewolę przed laty,
Służył tłumaczem wojsku. Ten, gdy się o mnie do-
[wiedział,
Zem sierota i Litwin, często mnie wabił do siebie,
Rozповідаł o Litwie, duszę stęsknioną otrzeźwiał
Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej i pieśnią.
On mnie często ku brzegom Niemna siniego prowadził,
Stamtąd lubilem na miłe góry ojczyste oglądać;
Gdyśmy do zamku wracali, starzec lży mi ocierał,
Aby nie wzbudzić podejrzeń: lży mi ocierał, a zemstę
Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę, jak w zamek
[wróciwszy,
Nóż ostrzyłem tajemnie; z jaką zemstą rozkoszą
Rznąłem kobierce Winrycha lub kaleczyłem zwier-
[ciadła.

Na tarcz jego błyszczącą piasek miotalem i plwalem.
Potem, w latach młodszych, częstośmy z portu
[Kłajpedy,
W łódkę ze starcem siadali brzegi litewskie odwie-
[dzać.
Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejska ich wonia.
Tęgnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspom-
[nienia.
Upojony tą wonią, zdało się, że dziecinniealem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małemi.
Starzec pomagał pamięci; on piękniejszymi słowami
Niżli zioła i kwiaty, przeszłość szczęśliwą malował:
Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i krewnych
Pędzić chwile młodości; ileż to dzieci litewskich
Szczęścia takiego nie znają płacząc w kajdanach Za-
[konu?
To słyszałem na błoniach; lecz na wybrzeżach Po-
[ługi,
Gdzie grzmącemi piersiami białe roztrąca się morze,
I z piennej gardzieli piasku strumienie wylewa:
Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnej ko-
[bierce?
Już je piasek obleciał. Widzisz te zioła pachnące?
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie:
Ach, daremnie! Bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
Białe pletwy rozpacza, łądy żyjące podbija,
I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni...
Synu, plony wiosenne żywo do grobu wtrącone,
To są ludy podbite, bracia to nasi Litwini;
Synu, piaski z za morza pędzone — to Zakon!...
Serce bolało słuchając. Cheiałem mordować Krzy-
[żaków,
Albo do Litwy uciekać: starzec hamował zapędy.

Wolnym rycerzom, powiadał, wolno wybierać oręż;
I na polu otwartem bić się równemi siłami;
Tyś niewolnik: jedyna broń niewolników jest zdrada.
Zostań jeszcze i przejmij sztuki wojenne od Niemców,
Staraj się zyskać ich ufność. Dalej obaczym, co
[począć...
Byłem posłuszny starcowi, szedłem z wojskami Teu-
[tonów :
Ale w pierwszej potyczce, ledwiem obaczył chorągwie,
Ledwiem narodu mojego pieśni wojenne usłyszał:
Poskoczyłem ku naszym, starca za sobą przywodzę.
Jako sokół wydarty z gniazda i w klatce żywiony,
Choć srogimi mękami łowcy odbiorą mu rozum,
I puszczają, żeby braci sokolów wojował :
Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
Po niezmiernych obszarach swojej błękitnej ojczyzny,
Wolnem odetchnie powietrzem, szelest swych skrzy-
[del usłyszy :
Pójdź myśliweze do domu, z klatką nie czekaj sokoła...»

Skończył młodzieniec, a Kiejstut słuchał ciekawie;
[słuchała
Córa Kiejstuta, Aldona, młoda i piękna jak bóstwo,
Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wieczory;
Kiejstutówna jak zwykle w sióstr i rówieńnic orszaku
Za krośnami usiada, albo się bawi przedziwem ;
A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona,
Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich,
I o swojej młodości. Wszystko, co Walter powiadał,
Łowi uchem dziewica, myślą łakomą pętyka ;
Wszystko umie na pamięć, nieraz i we śnie powtarza.
Walter mówił jak wielkie zamki i miasta za Niemnem,
Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,

Jak na gonitwach waleczni kopije kruszą rycerze.
A dziewice z kruzganków patrzą i wieńce przyznają.
Walter mówił także o wielkim Bogu, co władza za
[Niennem,

I o Niepokalanej Syna Bożego Rodzicy,

Której postać anielską w cudnym pokazał obrazku.
Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na piersiach :
Dziś Litwince darował gdy ją do wiary nawracał,
Gdy pacierze z nią mówił: chciał wszystkiego na-
uczyć.

Co sam umiał: niestety, on ją i tego nauczył,
Czego dotąd nie umiał: on nauczył ją kochać.

I sam uczył się wiele. Z jakim rozkosznem wzru-
szeniem

Słyszał z ust jej litewskie już zapomniane wyrazy.
Z każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się nowe
uczucie

Jako iskra z popiołu: były to słodkie imiona
Pokrewieństwa, przyjaźni, słodkiej przyjaźni, i je-
szcze

Słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości, któremu
Nie masz równego na ziemi, oprócz wyrazu —
[Ojezyzna.

Skądże, pomyślał Kiejstut, nagła w mej córce od-
[miana,
Gdzie jej dawna wesolość, gdzie jej dziecinne roz-
rywki?

W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się łańcem :
Ona siedzi samotna, albo z Walterem rozmawia.

W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub
[krośną :
Jej z rąk igła wypada, nici płatają się w krośnach,

Sama nie widzi co robi, wszyscy mi to powiadają.
 Wczoraj postrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono,
 A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem.
 Jakże mogłaby widzieć, kiedy jej oczy i myśli
 Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają?
 Ile razy zapytam, gdzie ona poszła? w dolinę;
 Skąd powraca? z doliny; cóż w tej dolinie? młodzieniec
 Ogród dla niej zasadził. Jestże ten ogród piękniejszy
 Niżli me sady zamkowe? (pyszne Kiejstut miał sady,
 Pełne jabłek i gruszek, dziewięć kowieńskich ponęta)
 Nie ogródek to wabi. Zimą widziałem jej okna;
 Cała szyba tych okien, co obrócone do Niemna,
 Czysta jakby śród maja, lód nie zaciemnił kryształu:
 Walter chodzi tamtędy, pewnie siedziała u okna
 I gorącym westchnieniem lody na szybach stopiła.
 Ja myślałem, że on ją czytać i pisać nauczy,
 Słyszając, że wszyscy książęta dzieci swe uczyć zaczęli...
 Chłopięc dobry, waleczny, jak ksiądz w pismach ćwi-
 [czony:
 Mamże go z domu wypędzić? On tak potrzebny dla
 [Litwy;
 Hufcę najlepiej szykuje, sypie najlepiej okopy,
 Broń piorunową urządza, jeden mi staje za wojsko...
 Pójdź Walterze, bądź zięciem moim! I bij się za Litwę!

Walter pojął Aldonę... Niemcy, wy pewnie myślicie,
 Że tu koniec powieści: w waszych miłosnych roman-
 [sach,
 Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę,
 Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi...
 Walter kochał swą żonę — lecz miał duszę szlachetną;
 Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w
 [ojczyźnie.

Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanucił skowronek...
Innym krajom skowronek miłość i rozkosz obwieszcza,
Biednej Litwie co roku wróży pożary i rzezie.
Ciągłą szeregi krzyżowe niezliczonemi tłumami;
Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna zanosi
Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbrój, rżenia ru-
maków.

Jak mgła spuszcza się obóz, blonia szeroko zalega,
Tu i owdzie migocą straży naczelných proporce,
Jak łyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,
Mosty po Niemnie rzucili, Kowno dokoła oblegli.
Dzień w dzień od taranów wala się mury i baszty,
Noć w noc miny burzące kopią się w ziemi jak krety,
Pod niebiosami ognistym wznosi się bomba polotem,
I jak sokół na ptaki z góry na dachy uderza.

Kowno w gruzy runęło, Litwa do Kiejdan uchodzi;
W gruzach runęły Kiejdany, Litwa po górach i lasach
Broni się; Niemcy dalej ciągłą pładrując i paląc.
Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach, ostatni w
[odwrocie.

Kiejstut zawsze spokojny: od dzieciństwa przywyknął
Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać;
Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami
[walczyli,
Idąc w ślady swych przodków bił się i nie dbał o
[przyszłość.

Inne były Waltera myśli: chowany wśród Niemców,
Znał potęgę Zakonu, wiedział, że Mistrza wezwanie
Z całej Europy wyciąga skarby, oręż i wojska;
Prusy broniły się niegdyś, starły Prusaków Teutony,
Litwa pierwiej czy później równej ulegnie kolei;
Widział niedolę Prusaków, drżał nad przyszłością Li-
[twinów,

«Synu, Kiejstul zawoła, zgubnym ty jesteś prorokiem,
 «Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie pokazać.
 «Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły
 «I z nadzieją zwycięstwa z piersi uciekła odwaga.
 «Cóż pocniemy z Niemcami?...» «Ojce», Walter
 [powiadał,
 «Wiem ja sposób jedyny, straszny, skuteczny nie-
 [stety!
 «Może kiedyś objawię...» Tak rozmawiali po bitwie.
 Nim ich trąba ku nowym bitwom i klęskom wezwwała.

Kiejstul coraz smutniejszy, Walter jak mocno zmie-
 [niony!
 Dawniej, chociaż nie był nigdy zbyt wesoły,
 — W chwilach nawet szczęśliwych lekki mrok zamy-
 [ślenia

Lice jego przesłaniał — ale w objęciach Aldony
 Dawniej miewał pogodne czoło i lice spokojne,
 Zawsze ją witał uśmiechem, czulem pożegnał wej-
 [rzeniem.

Teraz, zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść;
 Cały ranek przed domem z założonymi rękami,
 Patrzy na dymy płonących zdala miasteczek i wiosek,
 Patrzy dzikiemi oczyma; w nocy porywa się ze snu:
 I przez okno krwawą lunę pożarów uważa.

«Mężu drogi, co Tobie?» pyta ze łzami Aldona;
 «Co mnie? będę spokojnie drzemał, aż Niemcy na-
 [padną

«I sennego związawszy w ręce katowskie oddadzą?»

«Boże uchwój, mężu: strażę pilnują okopów».

«Prawda, strażę pilnują, czuвам i szablę mam w
 [ręku»:

Ale kiedy wyginą strażę, wyszczerbi się szabla...

„Słuchaj, jeśli starości, nędznej starości dożyję?...»
«Bóg nam zdarzy pociechę z dziełek...» «Wtem

[Niemcy napadną,
Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko.

I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego!...

„Ja sam możebym ojca, możebym braci mordował,
Gdyby nie Wajdelota...» «Drogi Walterze, ujedźmy
Dalej w Litwę, skryjmy się w lasy i góry od Niem-
[ców.»

«My odjedziem, a inne matki i dzieci zostawim.

Tak uciekali Prusacy: Niemiec ich w Litwie dogonił.
Jeśli nas w górach wyśledzi?...» «Znowu dalej uje-
[dziem.»

«Dalej? dalej, nieszczęsna: dalej ujedziem za Litwę?
W ręce Tatarów, lub Rusi?...» Na tę odpowiedź Aldona.
Pomieszana, milczała; jej zdawało się dotąd,
Że ojczyzna jak świat jest długa, szeroka bez końca;
Pierwszy raz słyszy, że w Litwie całej nie było schro-
[nienia.

Załamawszy ręce, pyta Waltera: co począć?

«Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom,
Skruszyć potęgę Zakonu: mnie ten sposób wiadomy.
Lecz nie pytaj, dla Boga: stokroć przeklęta godzina,
W której od wrogów zmuszony, chwycę się tego
[sposobu!]

Więcej nie chciał powiadać, próśb Aldony nie słuchał,
Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed sobą.
Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu karmiony
Kłęsk i cierpienie widokiem, wzdał się i serce ogarnął;
Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne uczucie,
Dotąd mu żywot słodzące: nawet uczucie miłości.

Tak u białowieskiego dębu, jeżeli myśliwi,
Ogień tajemny wzniciwszy, rdzeń głęboko wypalą,

Wkrótce lasów monarcha straci swe liście powiew 2012
Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zieloność,
Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie korona jemioły.

Długo Litwini po zamkach, górach i lasach błądzili,
Napadając na Niemców lub napadani wzajemnie.
Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Rudawy,
Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiej poległo.
Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzyżowych.
Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły z za morza;
Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się w góry.
Z wyszczerbionymi szablami, z porąbanymi tarczami,
Kurzem, posoką okryci, weszli posępni do domu.
Walter nie spojrzal na żonę, słowa do niej nie wyrzekł,
Po niemiecku z Kiejstutem i Wajdelotą rozmawiał.
Nie rozumiała Aldona, serce tylko wróżyło
Jakieś okropne wypadki. Gdy zakończyli obradę,
Wszyscy trzej ku Albonie smutne zwrócili wejście.
Walter patrzył najdłużej z niemej wyrazem rozpacz;
Wtem gestami kroplami łzy mu rzuciły się z oczu,
Upadł do nóg Aldony, ręce jej cisnął do serca,
I przeproszał za wszystko, co ucierpiała dla niego.
«Biada, mówił, niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
Których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatują,
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.
Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie:
Miód ich zapelnąć nie może, stają się gniazdem ja-
szczurek...
Daruj, luba Aldono! dzisiaj chcę w domu pozostać,
Dzisiaj o wszystkim zapomnę, dzisiaj będziemy dla
[siebie,

Czem bywaliśmy dawniej; jutro... » I nie śmiał do-
 [kończyć,
 Jaka radość Aldonie! Zrazu myśli nieboga,
 Że się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoly:
 Widzi go mniej zamyślonym, w oczach więcej ży-
 [wości,
 W licach dostrzega rumieniec. Walter u nóg Aldony
 Cały wieczór przepędził; Litwę, Krzyżaków i wojnę
 Rzucił na chwilę w niepamięć, mówił o czasach
 [szczęśliwych
 Swego do Litwy przybycia, pierwszej z Aldoną roz-
 [mowy,
 Pierwszej w dolinę przechadzki, i o wszystkich, dzie-
 [cinnych
 Ale sercu pamiętnych, pierwszej miłości zdarzeniach.
 Za cóż tak miłe rozmowy słowem jutro przerywa?
 I zamyśla się znowu, długo na żonę pogląda,
 Łzy mu kręcą się w oczach, chciałby coś wyrzec i
 [nie śmie?
 Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pamiętki
 Na to tylko wywołał, aby się z nimi pożegnać?
 Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora piesz-
 [czoły,
 Czyliż będą ostatnim blaskiem świecznika miłości?...

Darmo się pytać. Aldona patrzy, czeka niepewna,
 I wyszedłszy z komnaty jeszcze przez szpary pogląda.
 Walter wino nalewał, mnogie wychylał puchary,
 I Wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał.

Słońce ledwie wschodziło: tętnią po bruku kopyta,
 Dwaj rycerze z tumanem rannym śpieszą w góry,
 Wszystkich strażę zmylili — jednej nie mogli omylić,

Czujne są oczy kochanki : zgadła ucieczkę Aldona :
 Drogę w dolinie zabiegła : smutne to było spotkanie,
 « Wróć się, o luba, do domu ; wróć się, ty będziesz
 [szczęśliwa,

Może będziesz szczęśliwa, w lubej rodziny objęciach ;
 Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz :
 Wielu książąt dawniej o twą starało się rękę ;

Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim człowieku,
 Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się — nawet i Ciebie ;
 Bywaj zdrowa, zapomnij : zapłacz niekiedy nademną ;
 Walter wszystko utracił. Walter sam jeden pozostał,
 Jako wiatr na pustyni, błąkać się musi po świecie,
 Zdradzać, mordować, i potem ginąć śmiercią haniebną.
 Ale po latach ubiegłych, imię Alfa na nowo
 Zabrzmi w Litwie, i kiedyś z ust Wajdelotów po-

[słyszysz

Czyny jego. Natenczas, luba, natenczas pomyślisz,
 Że ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnie okryty,
 Jednej Tobie znajomy, twoim był kiedyś małżonkiem,
 I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroctwa. »
 Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy ni
 [słowa.

« Jedziesz, jedziesz ! krzyknęła, i zatrwożyła się sama
 Słowem : jedziesz : to jedno słowo brzmiało w jej
 [uchu.

Nie nie myślała, o nieze m pomnie nie mogła ; jej
 [myśli,

Jej pamiętki, jej przyszłość, wszystko splątało się
 [tłumnie :

Ale sercem odgadła, że nie podobna powracać,
 Że nie podobna zapomnieć. Oczy zbłąkane toczyła,
 Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejście ;

W tem wejrzeniu już dawno jej nie znajdowała po-
ciechy,

I zdawała się szukać czegoś nowego, i wkoło

Oglądała się znowu... Wkoło pustynie i lasy.

W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem wie-
życza.

Był to klasztor zakonnice, chrześcijan smutna budowa.

Na tej wieży spoczęły oczy i myśli Aldony:

Jak gołąbek porwany wiatrem wśród morskiej topieli,

Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu.

Walter zrozumiał Aldonę: udał się za nią w milczeniu,

Opowiedział swój zamiar, tać przed światem nakazał.

I u bramy — niestety! straszne to było rozstanie —

Alf z Wajdelotą pojechał. Dotąd nie o nich nie sły-
chać.

Biada, biada, jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi:

Jeśli zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony za-
truwszy...

Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił..

Adam SZYMAŃSKI.

Adam Szymański, znakomity nowelista polski, urodził się w r. 1852, w Hruszowie, na Podlasiu. Nauki odbył w Siedlcach i w Warszawie, gdzie ukończył wydział prawny w r. 1878. W roku tym aresztowany przez władze rosyjskie, został, po 13-miesięcznym więzieniu, zesłany na Sybir. — Arcydzieło jego, dwa tomy « Szkieców », wyszły w Piotrogradzie (t. I. 1877, t. II. 1890) i zjednały mu wielki i zasłużony rozgłos. Odnaczają się one niezwykłą wyrazistością i prostotą ujęcia, a zarazem głęboką, serdeczną mocą uczucia. « Szkiece » jego rozeszły się w kilku wydaniach i były tłumaczone na szereg języków europejskich. W r. 1901 przeniósł się Szymański do Krakowa. Pracował tam na niwie szkolnictwa, wydając « Reformę Szkolną ». W r. 1910 ogłosił « Aksinję — opowiadanie z życia moskiewskiej Lechji ». — Zmarł Szymański po kilkuletniej ciężkiej chorobie d. 5 kwietnia 1916 roku, na ziemi obcej, w Moskwie, dokąd zagnała go zawierucha wojenna.

DWIE MODLITWY

I.

Dawno, bardzo dawno temu — naturalnie, dla mnie, gdyż dziś jak przez mgłę pamiętam te czasy — w jednej z największych świątyni Podlasia, usłyszałem po raz pierwszy w mem życiu harmonijny i potężny śpiew chóralny męski. Świątynia, — napelniona zbitą masą ludu, pieśni, spływającej z chóru lawiną pał-

cą, wtórowała głosem wielkim, przechodzącym w lkanie, zamierające w cichym, coraz cichszym, wreszcie ledwie słyszalnym jęku błagalnym.

Drobne ciało moje drżało jak w febrze, rozpalone czoło przykladałem do zimnej podłogi, i składając i wyciągając ręce do Boga, prosilem Go, żeby ucichł ten jęk, rwący me serce dziecińne, żeby ci ludzie na chórze nie śpiewali tak żałośnie, żeby im weselej i radośniej było na świecie. «Zmiłuj się, zmiłuj się, Panie», powtarzałem z taką wiarą i ufnością, że po każdym wezwaniu mojem z zatajonym oddechem oczekiwałem, że, ot, ot, zagrzmi głos do pioruna podobny i głośząc modły błagalne, uciszy jęki bolesne i radosna pieśń Narodzenia, tryumfujące «Alleluja!» Wielkiej Nocy balsamem spłynie z chóru na tłumy modlących się ludzi.

Już zamilkły ostatnie jęki; ostatnie westchnienie tysiąca piersi echem stłumionem z pod wysokich sklepień spada na głowy modlących się, przygniatając je ciężarem ogólnego bólu; zgięte do ziemi, korne postacie unicestwiają się prawie; głów ludzkich nie widać w świątyni, tylko oczu tysiące z głów tych wpijają się w obraz Boga i zanoszą ostatnią niemą prośbę do Niego.

Najśłabsze echa modłów i westchnień ludzkich giną w głębokich sklepieniach i cisza straszna, cisza grobowa zda się, zapanuje w świątyni, i wiernych tysiące, ich jęki i prośby, staną przed próżnią, rozpląną się w nicestwie... zginą... niesłyszane...

Strasznej tej chwili boi się człowiek i kojącymi dźwiękami muzyki podtrzymuje swe słabe siły; milczą więc usta zaciśnięte, zgniecionej piersi nie wznosi już westchnienie, ale tam... w górze... rozlegają

się miękkie, łagodne dźwięki i falujące wśród sklepień wysokich, tłumione oddechami ludzkiemi, schodzą na dół do głosów żywych podobne.

I jęczy i płacze metal martwy pod ożywieniem dotknięciem palca ludzkiego, i w dźwięki, wydarte nigdy z piersi silniejszej niż pierś tłumy, wsłuchuje się tłum ten, jak w swe własne, błaga i prosi z nową ufnością, i ukojony sztuką artysty, silny nową wiarą, łzy wylewa nareszcie, we łzach tych ulgę znajduje.

Na tę chwilę jak gdyby czeka chór śpiewających, bo zaledwie zjawią się na twarzach ludzkich perły niedoli człowieczej, zaledwie zajaśnieją one na słońcu swą czystością nieskalaną, potężna skarga bije znowu ku niebiosom, pali sereą nowym płomieniem.

I znowu jęczą usta ludzkie, korzą się czoła i chyłą ku ziemi ciężarem westchnień z piersi zbolących gniecione.

Jęczę i ja z niemi; modłę się jeszcze goręcej, jeszcze błagalniej wyciągam ręce do Boga surowego, jeszcze dłużej zatrzymuję oddech, oczekując cudu widomego: ale mileży Bóg, pryskają nadzieje dzieciinne, a chór wzywa do nowej modlitwy, pali jeszcze silniejszym płomieniem.

— Boże mój, Boże, kiedyż się skończy ta modlitwa okrutna?

Czuje, że siły mnie opuszczają, że dłużej *tak* się modlić nie mogę. Koło mnie modli się ojciec ukochany, tulę się więc do niego; on mnie jak zawsze pocieszy. . . Ale ojciec, choć nachyla się ku mnie, nie widzi mnie, widocznie, bo po twarzy jego łzy płyną i ja czuję tylko i słyszę jego szept gorący.

— Módl się dziecię! módl się, jedyne, i nie zapomnij tej modlitwy wielkiej!

A chór nie widzi mnie lombardziej, i jęczy i płacze nowym bólem. Modłę się więc znowu; wszystkie swe myśli i uczucia skupiam na prośbie jedynej; pot kroplisty występuje mi na czoło, załamowynam oddech jeszcze dłużej i czekam... czekam napróżno!... Bóg mileży, a chór zawodzi nową skargę.

Straszno mi teraz, i duszno i gorąco nadzwyczaj!

— Boże mój, Boże, czemuż nie słuchasz nas tak długo?!

Pała jak w ogniu głowa moja; śpiew chóru, dźwięki organu, jęki i westchnienia ludzkie zlewają się w uszach moich w szum chaotyczny, bezładny. Szum ten przechodzi powoli w jakiś huk miarowy, z początku wolniejszy, później częstszy, z początku bliższy, później dalszy, do łopotania skrzydeł wielkich ptaków podobny; sinawy dym kadzideł czerwienieje mi w oczach i myśl, że prośby nasze nie dochodzą do Boga, jasnym promieniem oświeca moja głowę zmęczoną. Podnoszę oczy do góry i z krzykiem rzucam się do ojca.

Tam w górze, wstrzymywane wysokimi sklepieniami świątyni, jak stado ptactwa, zbierającego się do odlotu, kłębią się i huczą, prośby ludzkie; przez wązkie okna świątyni przedzierają się smugi światła słonecznego i ku nim, ku słońcu cisną się kłębami czerwone, krwawe, jęki i bóle człowiecze...

— Talo, talo! chodźmy modlić się... tam, do słońca, tam usłysz nas Bóg wielki, tam nie nie zatrzyma prośby naszej...

II

Zima 18... roku rozpoczęła się w X., jak w całym kraju jakuckim, niezwykle wczesnie. Już w końcu sierpnia przymrozki zwarzyły wszelką zieloność i poczerniały, ogolone ze swej krasy przyrodniej, przestrzenie wielkiej doliny, w której leży miasto, przedstawiały się teraz oku człowieka niezwykle ubogo.

Nędzne jurty, żadnych budynków, nie podobnego choćby zdaleka do ludnej i tak wesołej na jesieni wsi naszej. Tęsknota do kraju w czasie tej wczesnej choć krótkiej jesieni, pierwszy raz stanęła przedemną w całej swej przerażającej grozie.

W połowie listopada zaczęły się znakomite «sorokowiki»¹⁾, często bez przerwy trwając przeszło dwa miesiące. To też choroba, której uległem, rozwijała się prędko i jeszcze na długo przed owymi «sorokowikami» wycieńczyła mnie zupełnie. Jako nowicjusz w podobnego rodzaju sprawach, popełniałem tymczasem mnóstwo takich rzeczy, które same przez się nie będąc niedorzeczne, przez człowieka doświadczonego są tu praktykowane tylko w pewnej bardzo ograniczonej mierze. Wszyscy, ci którzy byli chorzy na nostalgię starannie unikają wszystkiego, co mogłoby wywołać chorobę: niechętnie mówią o swej przeszłości, milczą uparcie, gdy rzecz zachodzi o kraj, okazują wogóle dla wszystkiego, co powinno im być drogie, dziwną, niezrozumiałą obojętność.

¹⁾ Sorokowiki — mrozy 40 — stopniowe.

Naturalnie obojętność ta jest pozorną. Z początku nie rozumiałem tego zjawiska. Później dopiero, gdym pobyl tu dluzej, zrozumiałem, jak rozpaczliwym pancierzem ci, na oko zupełnie zczerstwiali i zobojętniali ludzie okrywali swe piersi zbolale, z jakim wysilkiem przedluzali swe istnienie na ziemi; zrozumiałem, że obojętność owa — to swego rodzaju heroizm ¹⁾, prawda, mały i nieblyszczący, jak każdy heroizm niedoli, ale zawsze heroizm.

Tym to puklerzem obojętności i pozornego zapomnienia okrywają się tu ludzie różnych stanów i kategorii; jedni czynią to z mniejszem, drudzy z większem rzeczy czynionej rozumieniem, jedni z mniejszą, drudzy z większą wytrwałością. Szczególniejszą jednak siłą woli, z ludzi pozornie zobojętniałych, bezwątpienia wyróżniają się ludzie wiejscy — chłopi.

Długo, długo trzeba krzesać, nim się iskrę z chłopca rozżalonego dobędzie; ale za to iskra ta, gdy wyleci, błysnie ci przed oczyma takim płomieniem, że aż je zakryjesz od blasku lub otworzysz z przerażeniem.

Z ciężką chorobą mocowałem się już kilka miesięcy, i dzień wigilijny zastał mnie w chwili, gdy ku wszystkiemu, co swojskie, biegłem już z tym uporem nieszczęsnym, z którym myśl pijaka biegnie ku wódce, myśl szalonego ku idei wyłącznej. List, odebrany przed kilku dniami z widocznym symbolem dnia dzisiejszego, opłatkami, pokruszonym w drobne kawałki, dołal oliwy do ognia. List ten od-

¹⁾ bohaterstwo.

B.D.I.C

czytałem niezliczoną ilość razy, i jeżeli teraz biegł z kąta w kąt swego pokoju, jak wiewiórka w swem kole zamknięta, myślałem już nie nad listem samym. Wszystką truciznę wywołanych przezeń wspomnień z gorączkowym pośpiechem, bez chwili odpoczynku, piłem w ciągu ostatnich nocy bezsen-nych, i wyobraźnia moja, wyczerpana, zmęczona, nie szła już dalej. Dzień, który wywołał tyle wspomnień, sprawił mi tyle cierpień, nadszedł; chodziło mi o to tylko, jakby urządzić się wieczorem tak, aby wypić do dna kielich zdradliwej słodyczy, otoczyć się at- mosferą, któraby choć na krótką chwilę, choć zda- leka, przypomniiała przeszłość bezpowrotną, i podsu- wając nowe, realne, choćby najgrubsze obrazy, podsycała wycieńczoną wyobraźnię, dała jej karm dla nowych widziadeł, nowych halucynacji.

W X. było wówczas parę polskich domów, pro- wadzonych dość otwarcie, a w jednym z nich czy też w dwóch nawet urządzono wigilię, dziś jednak, być tam nie mogłem. Domyślić się łatwo, że dziś chciałem się wyrwać z dusznych ramek konwencjo- nalizmu i poza granicami «towarzystwa» spędzić wieczór wigilijny.

* * *

Jeżeli wieczorem, w czasie mrozu wielkiego, przechodząc przez puste ulice X., dojdiesz do końca ulicy Kozackiej, znajdziesz się w punkcie, skąd jak na dłoni przedstawi ci się mniejsza dzielnica mias- ta, oddzielona od głównego grodu, w tem właśnie miejscu, starem, zamulonem łożyskiem rzeki. Im bardziej mroz ci dopiecze, z tem większą przyjem- nością zatrzymasz się na tym punkcie, aby ucieszyć

się widokiem, który stąd się roztacza. Mnóstwo jaśniejszych i bledszych, silniejszych i słabszych światełek widnieje tu zawsze, nawet przez mgławicę śnieżną. W kraju bezludnym, pustym, widok większego siedliska ludzkiego jest tak pociągający, że nie przechodziłem tędy ani razu, aby nie nakarmić oczu tym tak widowym dowodem siły i żywotności człowieka. Znam tu już każdy dom. Najbliżej błyszczą jasnym światłem domy bogatszych kupców i urzędników, dalej podobne do jurt domy kozackie, jeszcze dalej dom szewca i djaczka zarazem, kuźnia Jana Piętrzaka, jeszcze dalej, ledwie widzialne z poza szyb z lodu, błyszczą słabe światełka z jurt jakuckich i poza nimi — koniec życia, bezbrzeżne śnieżne obszary.

O jakże zimno tam być musi! Jakże opuszczonym, jak słabym czuje się człowiek samotny wśród tych obszarów, zasypanych śniegiem, błyszczących lodem, czerniejących tajgą ponurą, ziejących mrozem, mrozem i tylko mrozem!

To też pamiętam to dobrze, drgnąłem, i serce uderzyło mi silniej, gdy jakoś parę tygodni temu, zatrzymawszy się jak zwykle na wzgórzu, ujrzałem po raz pierwszy, jak z pustej przestrzeni, zaczynającej się za jurtami jakuckimi, słaby, słabiutki ogień błysnął mgławicą światelkiem, znikł i pokazał się znowu. Przywidzenie czy co, u Pana Boga. Nie wierzyłem oczom własnym, przetarłem je raz i drugi; ale ogień sierocy daleki, odcięty od siedzib ludzkich, migoce coraz wyraźniej.

Długo stałem tu wówczas, nim domyśliłem się nareszcie, że to straszny, wyklęty dom, dom z przetrachem wymijany przez ludność miejscową, świe-

cił ogniem samotnym. W domu tym kiedyś, przed B.D.100 laty, konali ludzie chorzy na ospę ¹⁾, ale do dziś każdy z miejscowych mieszkańców prędzej zmarznie, niż wejdzie do tego domu. Domyślić się więc już w żaden sposób nie mogłem, ktoby tam odważył się rozniecić ogień w nocy. Przechodził właśnie Jakut jakiś koło mnie, zatrzymałem go więc, i wytłomaczywszy, jak mogłem, o co mi chodzi, zapytałem czy nie wie, skądby się ogień wziął w dawnym szpitalu. Jakut słuchał mnie uważnie, dopóki nie rozumiał, o co się pytam, ale jak tylko pojmować zaczął, cofnął się o krok, dwa, trzy, a gdy następnie zrozumiał zupełnie, zdjął czapkę i wrzasnąwszy głosem nieludzkim « Kabyś abasà! » ²⁾ uciekł przerażony.

Na drugi dzień dopiero dowiedziałem się, że w domu zadżumionym, kilku Polaków, ludzi bez jutra, nie mających dachu nad głową, zamieszkało na stałe. Czasami, choć nie na długo, tulili się tu także i tacy ludzie, których losy chwilowo tylko pozbawiły właściwego przytulku.

W taki to sposób, poza miastem, w opuszczonym pustkowiu uformowała się mała kolonja, składająca się z ludzi dwóch typów: stałych i czasowych pust-

¹⁾ Ospa jest tu chorobą nierównie straszniejszą, aniżeli najstraszniejsze cholery azjatyckie u nas. W czasie epidemji ospy wymierają doszczętnie całe liczne, bo po kilkaset głów liczące rody. Ospa więc wzbudza w mieszkańcu tutejszym przestach nieopisany, i domy szpitalne po chorych na ospę z zabitemi drzwiami i oknami stoją zwykle niezajęte. Ponieważ zaś w domach tych, właściwie rzeczy biorąc, nie leczą się, lecz umierają, więc przestach, który wzbudzają, jest uzasadniony.

²⁾ « Kabyś abasà » — idź precz szatanie. W języku jakuckim akcent pada zawsze na ostatnią sylabę.

kowia mieszkańców. W pustkowiu tem bywałem dość często i teraz oto po dość długim namyśle wzięty postanowiłem przepędzić tamże.

Okolo godziny piątej wyruszyłem z domu, zdając się na łaskę i niełaskę mrozu, który gdyby tchnął swym zabójczym «chijusem», wbrew wszelkim z góry ułożonym planom, mógł mnie wegnać do najbliższego znajomego domu, ale na szczęście moje, choć mróz był piekielny, cicho było jak w grobie. Straszny «chijus» nie wyszedł jeszcze ze swych kryjówek biegunowych i powietrze stało nieruchome, zastygłe. Dzięki tej okoliczności bez szwanku, dotarłem do miejsca.

W dwóch nieopalonych pokojach, przez które przejść musiałem, aby się dostać do mieszkalnej części domu, ostro i przeraźliwie dźwięczało echo śniegu, skrzypiącego mi pod nogami; wydawało mi się nawet, że zimniej tu jest, niż na dworze. Okna zabite były deskami, więc w ciemności nieprzejrzaniej utykałem co chwila to na garnek rozbity, to na inne sprzęty połamane, ale choć z hałasem rozbijały się graty, głośno piszczały zardzewiałe zawiasy, nikt z będących tu ludzi nie wyjrzał nawet, nikt nie zwracał na to uwagi. Wchodzę nareszcie do mieszkania ludzkiego.

W dużym pokoju nie o wiele, jednak widniej, niż w pustych stancjach, przez które tylko co przechodziłem. Cienka łójówka na niskim warsztacie szewskim, słabo oświeca zaledwie jeden kąt pokoju. Przy warsztacie pracuje dwóch ludzi.

Siedzący bliżej, wysoki i chudy mężczyzna, szewc z urodzenia niejako, wbija w podeszwy wprawna i pewną ręką sztyfty drewniane. Dostał się on do miasta niedawno, ale ma już roboty dosyć i w pustkowiu napewno długo się nie zasiedzi.

Drugi, siedzący dalej, mężczyzna ze śliczną męską twarzą, znacznie niższy od p. Józefa, wyrównywa i wygładza obcas, ale powoli, bez owej szparkości, z którą pracuje p. Józef. Dość spojrzeć na twarz niższego szewca, aby, będąc najzapaleńszym przeciwnikiem wszelkiej teorii o rasowości ludzkiej, odgadnąć, że człowiek ten nie przy warsztacie siedział niegdyś.

Rzeczywiście, p. Jan Horodelski był niegdyś słuchaczem medycyny, później... ale o tem, czem on bywał później, i we dwa wieczory by nie opowiedzieć, teraz od lat już pięciu jest on szewcem, i powiedzmy prawdę otwarcie, szewcem-pijakiem. Nałóg jego nie pozwala mu nawet pomyśleć o zaprowadzeniu własnego warsztatu, więc też tulał się on po wszystkich warsztatach tutejszych, pracując cudzem narzędziem i ciężko mu bardzo. Za naczynie każdy właściciel pobiera znaczny procent, i nawet pan Józef niewiele podobno odstąpił mu od ceny pobieranej przez innych majstrów.

Harda to niegdyś i rogata była dusza, ale życie starło ją i wdeptało w takie błoto, z którego wychodzą całe dusze nietylko piękne i szlachetne, ale silne zarazem. Horodelski nie miał tej mocy, której nie gną żadne burze i był dziś stałym mieszkańcem pustkowia. Jego dni na ziemi są policzone; rozum, oświata, które posiadał niegdyś, dają mu teraz zupełną świadomość swego położenia i jaką napęlniają goryczą, o tem zapewne nikt nigdy nie dowie się na ziemi.

Czy to piętno zagłady, wyryte na jego czole, czy też może inne głębsze przyczyny nadają twarzy jego szczególnie wyraz. Powiedziałem wyżej, że twarz ta była piękna mężką pięknoscią, i dodać winienem, że tęgnęła ona łagodnym, miękkim wyrazem, który jest szczytem kobiecej piękności, i napiętnowana była nieopisanym jakimś smutkiem. W obejściu był on inny trochę; i sposób wyrażania się, i maniery, często zdradzały wpływ oloczenia, w którym oddawna się znajdował; często, ale nie zawsze, mógł on jednak zapanować nad sobą i wtedy na twarzy jego zjawiała się nowa cecha człowieczeństwa, jeszcze nie startego zupełnie: rumieniec wstydu nad położeniem swoim.

Szewcy, gdym wszedł, jak przystoi ludziom pracującym, nie poruszyli się nawet na swych stołkach; rozebrałem się więc i oczyściłem z namarzłego lodu w milczeniu, i dopiero, gdym podszedł ku nim bliżej, podniosły się obie nachylone głowy, witając mnie przyjaznym uśmiechem. Pan Józef, ze względu na sztyftów parę, trzymany w zębach, podał mi rękę, mrużąc coś nieokreślenie, i puścił ją natychmiast w ruch automatyczny; Horodelski po przywitaniu obejrzał obcas jeszcze nieskończony, i stawiając but na ziemi, wyrzekł z westchnieniem: « I dieło s końcom »¹⁾). Było to ulubione przysłowie jego.

— Co skończone? — zapytałem jednak.

— Wszystko — brzmiała również stereotypowa odpowiedź.

— Tylko nie obcas — mruknął p. Józef, wyjmując ostatni sztyft z zębów.

1) I sprawa skończona.

— A właśnie, może i obeas, jeżeli rozumie się (S.D.I.C.)
nie rzucę tej ruiny przeklętej i nie wrócę znowu do
dżaczka — odparł żywo Horodelski.

— A czy tu panu źle, czy co? — przekomarzał
się pan Józef. — Warsztat chwala Bogu dobry, na-
czynia dosyć, a i pokojów, choć kotrydansa wywijaj.

Ale Horodelski nie słuchał i ciągnął dalej:

— Tak, bardzo być może, że rzucę to szewstwo
moje, jeżeli tylko póki czas do dżaczka się nie prze-
niosę. Rzucę, bo szewe ten oto dowiódł mi czarno na
białym, że psu na budę nie zdało się to rzemiosło
moje, że partaczem jestem i szewcem tylko u dżaczka
partacza być mogę.

Pan Józef zachychotał wysoce zadowolony, i już
się zabierał do odpowiedzi stosownej, gdy bas po-
ważny:

— Cy u dżacka, cy nie u dżacka, a siewcem
nigdy pon nie bandzie — przerwał mu w chwili naj-
właściwszej.

Bas wychodził z ciemnego kąta tegoż samego
pokoju: spojrzalem więc tam uważniej.

Na tapczanie dość niskim siedział ze spuszczoną
głową, ustawicznie z lulki pykając, chłop okazały,
zwykle Bartłomiejem, rzadziej Bartkiem owczarzem
zwany.

— Dlaczegoż nie! zapytałem, witając się z mó-
wiącym.

— Dłatygo ni — odparł Bartłomiej — ze nijakie
stworzenie od przeznacynia swoigo ucie nie może;
ni pies sukom, ni baba chłopem nigdy nie bandzie.

— Przecież to co innego zupełnie?

— Ono widzi się tak tylo, co inzego, a w rzeczy je-
dno, bo choćby ja som na ten, przykład: od roboty,

juz i nie mówićby mi o, tem nie uciekam, a nie idzie mi przecie. A dlacygoj? Dlatygo, ze nie przy swojej robocie stojem. I choć pracuję, nie piję, marnieję jak ta owca na słocie, i zmarnieję taki, bo i terom juz bardzi do psa na weselu, niżli do cłeka podobny, tyło wesele to nijakie. Ono i odrazu tak mi sie pokazało, jakem tyło tu przysed. Bo cy to nie dziw prawdziwy? Ziemia tako wielga, rzyki ni to morza, góry nie Łysicać przecie, łąki, trawy do pasa i kraj taki przez owców! Mądre ci som chłopy, choćby i owcarze nase, i zadać i zdjąć urok umiejom, i likarstwa na co, na co, choćby i na upór babski tyz majom; a powiedzieć, ze je ziemia wielga przez owców, ze owcarzo wi marnieć tu wypadnie.

Bartłomiej, jak to latwo domyśli się każdy, był czasowym mieszkańcem pustkowia. Chłop to był wielkiej zacności, ale fatalność jakaś ciążyła nad nim; pracowity, uczciwy, nigdzie jednak nie mógł znaleźć zajęcia, któreby mogło uwydatnić jego przymioty, zwrócić nań uwagę. Niedawno przybył on tu ściągiony obietnicami jakiegoś dostawcy; obietnice nie ziściły się i Bartłomiej, korzystając z chwilowego, przytułku, oczekiwał tylko, dopóki nie spadną trochę mrozy, aby wyruszyć w odwrotną łrogę. Chłop to był poważny, sensat prawdziwy. Gadaniny czezej nie lubił i głos rzadko zabierał, ale za to jeżeli odezwał się kiedy, to nie inaczej tylko kategorycznie, stanowczo, bez apelacji. Jako przedstawiciel klasy, będącej od dawien dawna kastą prawie i to dość uprzywilejowaną, był on konserwatystą zapalonym, reform żadnych w społeczeństwie nie dopuszczał: «pies — psem, baran — baranem» było maksymą jego. Au-

torytet swych przewodników moralnych podniósł do kultu religijnego prawie i odezwać się przy nim z czemś, coby choć zdaleka autorytetu tego dotykało, nie zawsze było rzeczą bezpieczną.

— Kto mówi? — zapytywał Bartłomiej w takich razach groźnie.

I gdy nie był bardzo rozdrażniony, a mógł się hamować, wysuwał swe pięści potężne przed nos mówiącego i wymawiał powoli:

— Kpy mówią!...

W drugim również wielkim pokoju znajdowało się jeszcze dwóch stałych mieszkańców pustkowie: ślusarz Porankiewicz i ex-obywatel, niegdyś jaśnie wielmożny, p. Feliks Babiński.

Jeżeli Horodelski był człowiekiem, stojącym na skraju przepaści, to Porankiewicz stoczył się już od dawna na samo dno takowej. Gdy wszedł, [dłubał on coś około swego stolika, nazwę warsztatu noszącego. Błady, chudy i drobny, jeszcze drobniejszy wydawał się wskutek pochylego trzymania się; chodził tak zgięty, że zapewne rzadki starzec przewyższał go w tem względzie.

— A wyprostujże się pan choć raz! — mawiałem mu nieraz.

— Chi, chi, chi! — śmiał się dobrodusznie Porankiewicz — ziemia, ziemia, kochany panie, wyprostuje mnie chyba. Od dziesiątego roku życia przy warsztacie, od rana do nocy, to i stał się wygnie powoli.

Życie tego człowieka było prawdziwą Odyseją,¹⁾ on tylko biedaczysko Ulissesem nie był nigdy. Złe

¹⁾ Odyseja, poemat grecki, w którym opisane są przygody głównego bohatera Ulissesa.

losy obegnały go po wszystkich ziemiach syberyjskich, i dogorywać wypadło mu w najgorszej.

Babiński, gdy wszedł, spał; wstał jednak, usłyszawszy naszą rozmowę. Wysoki, barczysty, był on silny fizycznie, a jego twarz ciemna, okolona czarnym jak węgiel zarostem, z wielkimi nastroszonymi brwiami, miała zawsze wyraz surowy. Rozrzewnionym nigdy go nie widziałem, i tylko gdy go coś bardzo za serce chwyciło, mrugał powiekami niezwykle prędko i rękę po wódkę wyciągał. W pracy niezmęczony, mógł i umiał pracować i jeszcze do niedawna jak wół pracował. Od lat dwóch dopiero pić zaczął na zabój. «Abo go co trąciło, abo feler jaki ma w sobie» — mawiał o nim Bartłomiej. — Ginie więc teraz, zda się, bezpowrotnie, chociaż przy sprzyjających okolicznościach może jeszcze i wyjdzie z przepaści, w którą się stacza, bo człowiek to silny niezmiernie.

Są w Rosji konie pociągowe, bitiugami zwane, czarne, zle, rosłe i silne niezmiernie. Idzie sobie bestja taka krokiem równym, miarowym, bez cienia wysiłku, a zapytaj, ile ciężaru na teledze? 60 pudów co najmniej, a często i sto ciągnie.

Babiński do bitiuga był podobny, i chodził tak nawet, jak bitiugi chodzą. Gdy pójdzie, bywało, krokiem wielkim, posuwistym, nigdy mu nie nadążysz. Wszystkie zakupy z miasta: chleb, mięso, wódkę on zawsze nosił, bo nikt tak prędko nie chodził i nikt tak mrozu, choćby największego, nie znosił.

Twardy to człowiek okrutnie, a o ile ciężaru ciągnie nieraz za sobą, nigdy się nie domyślisz — «bitiug» prawdziwy! Miał on prócz tego jakiś spryt szczególny, który go już nieraz z toni prawdziwej

ratował; on to zajął pustkowie i był gospodarzem *de jure*, a co jeszcze dziwniejsza, umiał odnaleźć Jakutkę brzydką jak piekło, ale uczciwą, jak tylko dzieć ludzie bywają, która zgodziła się być kucharką w kolonji. Eudoksja tedy była szóstą duszą w pustkowie.

Nie wszyscy mieszkańcy pustkowie zgodzili się odrazu na uroczysty obchód wigilji. Bartłomiej i, co dziwniejsza, Horodelski, opierali się najdłużej. « Nie i nie! — upierał się Horodelski — wódki mogę wypić, ile chcecie, zjem co dacie, ale wigilja? Nie! » I dopiero gdy niezwykła wymowa, którą rozwinął Porankiewicz, zmiękczyła upór Bartłomieja, ustąpił odrazu i Horodelski.

Babiński, jak to zwykle w takich razach bywało, wyruszył bez zwłoki po zapasy, i żywo powrócił z miasta z mąką, masłem, « pępkami »¹⁾ i gąsiorkiem wcale pokaznym. Zakąsiwszy więc potrosze i zakropiwszy co najzjadliwszego robaka, wyszliśmy do pierwszego pokoju, aby nie przeszkadzać przygotowaniom, które Eudoksja pod kierunkiem Porankiewicza prowadzić miała. Dumny on był niezmiernie z okazanego mu zaszczytu, i z odrzuconą w tył głową, jak zawsze, gdy usiłował trzymać się prościej, spowiadał niezmiernie, a był tak wzruszony, że prawie zupełnie stracił dar mowy, wypuszczając zamiast słów jakieś chrząkanie nieokreślone, które, z początku szczególnie, dławilo go zupełnie. Chrząkanie uciechło nareszcie, i tylko łupanie drzazg, wybijanie ciasta i skwierczenie masła w kuchni dawały nam znać, że o władnąwszy wzruszeniem, Porankiewicz

1) Pępki od ruskiego « Pupki » są to brzuski solone z wielkich i tłustych ryb poławianych w Lenie; jedzą się jak śledzie.

skierował wreszcie sprawy kuchenne na właściwą drogę.

I w pierwszym pokoju gwarniej się teraz zrobiło; Bartłomiej i Horodelski, popuściwszy sobie wodzów, rwali już teraz z kopyta: zaczęły się przypomnienia, wyliczania, po ile to lat niektórzy nie widywali żadnej wigilji, a gdy Bartłomiej zauważył, że warto byłoby «ochędożnie trochę zasiąść do tych o świętych godów», zaczęło się ogólne mycie i przebieranie, jak gdyby na bal jaki wybierali się wszyscy.

Pan Józef tedy wysunął zabójcze kołnierzyki, aż do połowy policzeków dochodzące, wdzięcznym fontaziem z chustki kraćastej szyję swą ozdobiwszy.

Bartłomiej wydobył ze skrzynki jakiś węzelek niewielki i szperając w nim długo, wyciągnął kawałek rzadziuchnej kraśnej wstążeczki, próbując nawiązać ją na szyi, ale bezskutecznie. Zgrubiałe i odwykłe ręce nie słuchały go wcale, i wstążeczka wymykała się mu z palców. Wtedy Bartłomiej, zwabiony widać wdzięcznym fontaziem szewca, zwrócił, się doń z prośbą: «A niech-no pon i mnie od tyz!» Szewca wziął się do roboty, lecz czy to wziął się niedbale, czy też mruknął coś o błahości ozdoby, bo dopiero gdy Bartłomiej wymówił pocichu: «A dyć to jesczej z domu» — szewckie «Aaa!» zabrzmiało innym tonem, i Bartłomiej, przeprowadzony do światła, otrzymał fontaż, z którym «choć w] zalicanki idź śmiało». Bartłomiej chodził z fontaziem, jak gdyby kij połknął, ale za to gdy jeszcze i Babiński przypiął wykrochmalony kołnierzyk, a Horodelski wyciągnął jakąś odwieczną zakietkę, nad której plamami biedził się z pół godziny, zewnętrzny wygląd całej naszej kompanji harmonijnie licował z jej uroczystym wewnę-

trzymym nastrojem. Calej, powtarzam, bo gdy wkrótce drzwi sąsiedniego pokoju otwarły się naoscież, zjawiał się w nich Porankiewicz, również świątecznie przybrany: w długim wytartym surducie, i choć z mniej-szym kołnierzykiem, ale za to z fontaziem weale nie gorszym od szewskiego.

Porankiewicz chrząknął raz jeden i drugi, chrząknął wreszcie i trzeci, i przytrzymując jedną ręką drzwi, drugą zaś wyrażając nam wszystkim uwagę głęboką, wyrzekł uroczyście:

— Kolacja gotowa, proszę do stołu!

Widok, który nam się po wejściu okazał, był tak niespodziany, że wszedłszy, stanęliśmy jak wryci.

Przy ścianie wewnętrznej pokoju stał stół niemal, przykryciem białem, jak należy, nakryty — przykryciem, przez którego dziury wyglądało siano, na stole leżące. Stół był oświetlony dwiema świecami, w lichtarze blaszane dobrze pogięte wetkniętymi; na jednym końcu stołu umieszczona została wielka miska z przyjemnie i wonnie dymiącą kupą ładnie podrumienionych, «oładzi»¹⁾, na drugim końcu znajdowała się miska z «pepkami», octem i pieprzem przyprawionemi, około miski leżał chleb i stał gąsiorek naczyniem drobniejszem a różnorodnem otoczony.

Na samym zaś środku stołu, na jedynym, niegdyś białym a dziś żółtym i poszczerbionym talerzu, leżały okruszyny z przysłanego mi oplatka.

Ani przykrycia białego, ani siana, ani oplatka.

¹⁾ «Oładzie» coś w rodzaju naszych racuszków, tylko z praśnego ciasta.

nikt się nie spodziewał; więc też wrażenie wywołane tylu niespodzianymi akcesorjami było potężne.

Porankiewicz, wysoce zadowolony z efektu, wysunął się teraz naprzód, i zbliżywszy do stołu, wziął ostrożnie talerz z opłatkiem, i prostując się, aż mu w krzyżach zatrzeszczało, chrząknął, usta otworzył, i gdy wszyscy z najżywszą ciekawością oczekiwali całej oracji ¹⁾, wyrzekł drżącym głosem słów czworo:

— Panowie! Opłatek wprost z Warszawy. . .

I Złotousty nie przemówiłby silniej.

Już bowiem niecierpliwi się zbliżali do stołu, już ponętny zapach «oładzi» górować zaczynał nad powagą chwili niedawnej, ale gdy słów tych czworo rozległo się w pokoju, cisza zapanowała grobowa, jakoś mimowoli wyciągnęli się wszyscy w szereg jeden, i tylko głów pięcioro zwróciło się ku talerzowi.

Porankiewicz wyprostował się znowu.

— Hm, hm! Panowie! Świętość taka. . .

— Poświęcony?! — z radosnym podziwem przerwał lekliwie Bartłomiej.

— Spodziewam się! innego-by nie przysłali — z głębokim przeświadczeniem odparł Porankiewicz. — Ale — ciągnął dalej — hm, to jest chciałem powiedzieć, gdy jest świętość taka, więc się podzielimy?

— Podzielimy! a juści podzielimy! — ust pięcioro wyrzekło jakby jedne usta.

Porankiewicz zrobił nowe usiłowanie, aby stanąć prościej.

— Gdy zaś, to jest, chciałem powiedzieć, nie ubliżając kochanemu panu Babińskiemu — i skłonił się mu uniżenie — wszyscyśmy w tych oto pałacach go-

¹⁾ przemówienie.

spodarze, więc spodziewam się, to jest myślę, naj-
lepiej będzie, jeżeli pan, jako gość nas wszystkich
obejdzie...

I ponsowy cały, spocony jak po pracy największej, oddał mi talerz z ukłonem.

Wzięłem talerz i zbliżyłem się do Babińskiego.

I teraz dopiero, gdy mi samemu mówić wypadło, zrozumiałem, jakiego wysiłku potrzebował mój poprzednik dla swych oracji króciutkich; ręce moje trzęsły się, usta zamknęły zupełnie. Babiński zbladł, aż zbiałał, i gdy podszedł do niego bliżej, surowa twarz jego zjawiała się przedemną nieruchoma, jak z marmuru wykuta, i gdyby nie to, że powieki zalałały mu zawzięcie, myślałbym, że to trup, nie zaś żywy człowiek stoi przedemną. Zbierał długo okruszyny, ale te wypadały mu ustawicznie, i wątpię, czy wziął choćby jedną...

Z innymi było toż samo.

Porankiewicz, jako człowiek najmiększego serca, pierwszy zaszlochał jak dziecko, i choć Bartłomiej, stojący za nim, krzepił go szturchaniem i ujmował prośbami rzecznymi: « Cicho, bracie, cicho, bo ryknę jak baran! » — nie to nie pomagało. Więc też kiedym podszedł do Bartłomieja, siły już go opadły: nisko schylił swą głowę osiwiąta, i wyciągając rękę po opłatek, zaczął głośno, powoli:

— W imię Ojca... i Syna... i Świentygo... i Świentygo, — powtórzył ciszej i... ryknął głosem wielkim.

* * *

Lzy nam wszystkim ulgę przyniosły, wszystkim oprócz Babińskiego, który wśród płaczu ogólnego

stał jak skamieniały, oczyma tylko mrugając, — i dopiero widać, gdy mu dopiekło do żywego, ponieważ znajdował się blisko stołu, wyciągnawszy obie ręce pomiędzy naczynie pomniejsze, około gąsiorka będące, zadzwonił szkłem dość głośno. Powieki mu latały i ręce trzęsły się jeszcze, jak w febrze, tak, że sam użyć ich nie mógł, i tylko gdy Porankiewicz już uspokojony, poskoczył do niego bliżej, szepnął mu głosem słabym :

— Nalej bracie !

Porankiewicz jał nalewać, i ręk, ile było, wyciągnęło się ku stołowi.

Nalać odrazu wszystkim, rozumie się, nie można było, a że każdy pragnienie czuł dość silne, więc wymówki słyszeć się dały, że weześniej o nalaniu nie pomyślano, wymówki, które jednak od razu przeciął Bartłomiej, mądrze zauważywszy, że : « nie Duch-ci nikt święty, aby mógł wiedzieć, że żalność taka sroga zrazu na caluśki naród nadyndzie. » Gdy nareszcie naczynia wszystkie napełniono, bojąc się nowego rozrzewnienia, wychylili się w milczeniu, z kolei przystąpiwszy do słonych i pieprzonych « pepków ». Pokarm to taki, że bez stosownego odwilżania dużo go nie zjesz, więc gdy Porankiewicz ujął za gąsiorek powtórnie, znowu ręce wszystkie ku niemu się wyciągnęły, i tu dopiero zauważyliśmy, że ręki Babińskiego pomiędzy naszymi nie było.

Babiński stał, jak poprzednio, z naczynkiem opróżnionem, ale milczący, nieruchomy, zbielały. Pierwszy, Bartłomiej, jako z chorymi praktyk niemały, dostrzegł niebezpieczeństwa, i żywo skoczywszy ku Babińskiemu, obejrzał go troskliwie :

— Sidem suchych boleściów, widno, ścisło go zrazu! — brzmiała konkluzja ostateczna — a bez słozów zadławiom-ci boleści takowe cteka, jak wileysko jagniaka. Je jeden ratunek: jak ci z wierzechu bez ślipie zale srogie nie spłynom, spuścić je trza we środek, i kiej ściekom pomaluśku, dlawienie od syrca odstąpi. Trza mu było od razu wypić do trzech raz; ale to nie jeseć: chłop krzepki, to odyńdzie potrochu!

I wybrawszy naczynko pokaźniejsze, Bartłomiej zakomenderował:

— Lejże Porankiewicz!

Porankiewicz nał, Babiński wypił automatycznie; nał znowu i Babiński wypił znowu; ale widąc boleści nie odchodziły, bo Bartłomiej zaczął nowe oględziny.

— A cy od wypadku nie miała gdzie spirytusu trocha?

Babiński skinął głową z potwierdzeniem, i gdy spirytus odnaleziono, wybrał z pomiędzy naczyńia szklankę zwyczajną, i naławszy dobrą połowę, podał Babińskiemu.

Lekarstwo podziało cudownie. Babiński pił małymi łykami, a gdy wypił, bladeść ustąpiła mu z twarzy, usiadł przy stole i zażądał zakąski; podsunęto mu «pepki»; i gdy wszyscy naocznie przekonali się, że pepki znikają z należytą szybkością, kamień ciężki spadł nam z serca. Bartłomiej z popisu swego był teraz nie mniej dumny, niż Porankiewicz z wigilji; więc, wzruszeni, godność sobie wzajem świadczyć zaczęli, a gdy Babiński, zjadłszy «pepków» funtów ze dwa, jeść przestał, pier-

wszą krytyczną chwilę wigilji szczęśliwie prze-
byto.

W pustkowiu huczało teraz jak w ulu: mówili wszyscy, i choć wszystkim się zdało, że mówią głosem zwykłym, gwarno tu było, jakby nas było ze dwunastu.

Błogość pożądana ogarnęła wszystkich, i zrobiło się każdemu tak rzewnie na duszy, że i smutki niedawne, i bóle zastarzałe, i rany, które każdy chował przed światem, jak skąpiec nie chowa skrzyni dukalami nabitej, otwarły się, aby przyjąć balsam pocieszenia.

I widma cierpień wielorakich sunęły przed nami pasmem długim, nieskończonem, ukazując nam jak w kalejdoskopie, wszelaką niedolę człowieczą.

I ulgę pożądaną otrzymawszy, widząc wokół twarze łzami współzucia zroszone, szedł każdy dobrowolnie z niemocą swoją, i wyznawał grzechy swoje; była więc między nami jakby spowiedź publiczna ze skrucą szczerą uczynioną.

Bił się w piersi swą ręką połączną Bartłomiej, obwiniając o krewkość zbyteczną; szlochał Porankiewicz, prosząc żałośnie, aby mu wobec przejść ciężkich, które przewyższały słabe siły jego, nalóg dzisiejszy wybaczone; obwiniali się i inni.

I dopiero, gdy skrucę i żal okazał każdy, i absolucja zupełna tym, którzy się spotykali na drodze ciernistej, wracała utraconą godność ludzką, — żółkle i pomarszczone twarze rozjaśniła radość szczerą, dziecinna, śmiało podniosły się opuszczone źrenice — byliśmy teraz wszyscy sobie równi. I chwilę

drugą, nie mniej krytyczną, niż pierwsza, również szczęśliwie przebyto.

*
*
*

Nastąpiła chwila trzecia.

Harmonja, która pomiędzy nami zapanowała, błogie uczucie wzajemności, braterstwa i wspólności, dreszczem rozkosznym przenikać nas zaczęły, zwiastując chwilę pożądaną.

Ów kielich słodyczy, który manił i ludził nas tylokrotnie swym czarownym napojem, ów haszysz zabójczy, do którego jak ptactwo w noc ciemną do ognia, cisną się ludzie w życiu tutejszem doświadczeni, ów kielich stał przed nami niczem już nie okryty. Spadły jedna za drugą zasłony, okrywające trucizną ponętną; należało przystąpić i pić do zupełnego sił wyczerpania...

Pierwszy zagrał na cudnych strunach wspomnień rodzinnych Bartłomiej stary, roztaczając nam na złocistej kanwie swych pól sandomierskich, obrazy pełne siły, prostoty i wdzięku.

Z rozwianym włosem bielejącym, rozognioną twarzą, wzrokiem natchnionym, jak stary prorok biblijny, ukazał nam najpiękniejsze ziemi rodzinnej niwy, łąki i lasy. Wiódł do siól, pod strzechę wieśniaczą; bolał nad niedolą pod tą strzechą zagnieżdżoną, prowadził do świątyni Imię Pańskie sławiących.

I stał się cud pożądaný: ceł pragnień zatajonych, śniony na jawie nocy bezsennych, ziścił się. Ziemia daleka, powietrze rodzinne, słońce złociste były tu, pomiędzy nami, w ciemnym pokoju pustkowie... My widzimy tę ziemię, czujemy ją, dotykamy... tu osadziliśmy ją całą! Tu umailiśmy ją zielenią, tu

okrasiliśmy ją kwieciami, tu ozdobimy ją ozdobą najpiękniejszą — sercami, tylko dla tej ziemi bijącemi, i trzymać tu będziemy oblubienicę swoją... dopóki ją utrzymać zdołamy wszystkich swych sił wytężeniem...

Czyż to nie praca?...

Praca... ale niech Bóg was od pracy takiej ucho-
wa! Silni ludzie podejmowali ów kamień Syzyfa, i
dziś tylko kości bielejące po cmentarzach, garści
pijaków, tułających się po «kabakach», kupka war-
jatów, dogorywających po szpitalach świadczy, że
kamień ów nie do podniesienia, że im wyżej go
wtoczysz, nierozumny, z tem większą siłą zdruzgo-
cze on twą głowę szaloną.

Szał ogarnął nas wszystkich; i z krwią nalanemi
oczyma, rozdętymi nozdrzami, sercami, wyskakują-
cemi z piersi zboliałych, podjęliśmy pracę nieludzką...

I biada teraz śmiałkowi, któryby się ośmielił dot-
knąć brutalnie złudzenia naszego! Biada nieszczę-
śliwemu, który nie będzie miał siły i osłabnie
przedwcześnie! Przed śmiałkiem, nim się opamięta,
błyśnie nóż, ujęty ręką, która nigdy noża nie doty-
kała. Nieszczęśliwiec zginie, jak giną owe zwierzęta
słabsze, co padając w stadzie oszalałym, są przezeń
bez litości traktowane.

*
*
*

Chór z sześciu głosów brzmi echem rozgłośnem
w wielkich pokojach pustkowie. Pieśni smutne i
radosne idą biegiem naturalnym w tym porządku nie-
odmiennym, z którym wszystko spełnia się na świe-
cie. Jeden Bartłomej, bywalec po ziemi krakowskiej,

ze swymi krakowiakami za dwóch starczy. Samo «Albośwa to jacy tacy», mogłoby nasycić najzapałeńszego zwolennika rozkoszy wokalnych, tyleśmy je razy prześpiewali, ale iluż to z pomiędzy nas nie słyszało tej piosenki nie pięć, nie dziesięć, ale dwadzieścia lub i więcej lat nawet! Więc chociaż chrypnie już Bartłomej, po raz piąty, ogólnym zapalem pobudzany, zawodzi:

I kozicek, a stalowy, wyostrzony,
I do pochewki włożony,
I fajeczka, i krzesiwko,
Na to dobre przyodziejewko,
Kochajże mnie moja dziewczko,
Do kolusinecka
Moja kochanecka!

A czy gorsza druga strofka: «I porteczki na sznurku do ściągania» i t. d.? Nie tylko nie gorsza ale ładniejsza, więc powtarza się raz szósty i siódmy nawet. Zapal nieopisany wywołuje każde słowo tej pieśni, wdzięcznej i poetycznej swą prostotą naiwną. «Eech! co za pieśń! oto pieśń!» wyrrywają się krótkie pochwały, i Bartłomej choć zawodzi bez przerwy, wodząc wokół tryumfującym wzrokiem, nadaża na każdy wykrzyk taki odpowiedzieć krótko, ale wyraziście:

— Krakoska!...

Babiński łowi każdą nutę nowej piosenki lub pieśni, i wygrywa ją jak pozytywka, powtarzając dyszkantem niezmiernie wysokim dwie sylaby tylko: «dyna, dyna, dyna, dyna», i tak bez końca. On jednak śpiewa z największym zapalem, a silny ogromnie i ogniem wewnętrznym palony, straszny on

teraz ze swemi pieśniami bez słów, w które wkłada wszystkie swe bóle i żale, nigdy słowami nie wypowiedane.

Wyczerpano i wyśpiewano nareszcie wszystkie pieśni przez nas znane; więcej nikt nie pamięta; ale szal, który nas ogarnął, doszedł teraz do zenitu, musi więc być pieśń nowa, pieśń której słowa i motywy, dające ujście niepomierne wozbranemu uczuciu, odpowiadałyby ogólnemu nastrojowi.

* * *

W pieśniach największych naszego narodu, smutnych i radosnych, bolejących i weselnych, ale wspaniałych i wielkich głębią i spokojem uczucia, znajdujemy ujście pożądane — w pieśniach religijnych. Ubodzy to ludzie, którzy w pieśniach tych nie nie słyszą, nie nie czują. Pieśni wielkopostne, wielkanocne, i Bożego Narodzenia — to największy spadek artystyczny, jaki nam przeszłość przekazała. Jedyna to sfera naszej twórczości artystycznej, na którą nie oddzielne warstwy, nie oddzielne epoki, ale składał się naród cały, w ciągu wszystkich wieków swego istnienia, wkładając weń całą duszę swoją, wszystkie swe radości i bóle ziemskie.

I mamy też skarbnicę melodji głębokich jak dusza narodu, której nigdy uczucia miłkie i drobne nie poruszają, wielkich, jak wielkiem jest na ziemi istnienie, wiekami zmroczone.

Rzuć w tę głębię, ile chcesz smutków najczarniejszych, radości nieokietznanych, nie zmącisz jej i z wierzchu nawet; na pioruny niebieskie odpowiada ona głuchem swych wód warczeniem, jednym takttem, zmienionem tempem zaznaczając je za ledwie!

Ze skarbnicy tej dotąd nie ocenionej należycie, zaczerpną kiedyś wielcy mistrze przyszłości, jak dziś czerpią z niej ludzie prawdziwie bolejący.

* * *

Któż nie zna powszechnej u nas pieśni religijnej: « Gwiazdo morza »? Pieśń ta jednak w niewielu, zdaje się, kościołach jest śpiewaną na nutę, na którą tu ją śpiewaliśmy. Zanućona bez słów, dziwnie przypadła nam do serca; śpiewaliśmy ją tedy do końca. I słowa i melodia odpowiadały uczuciom naszym. Proste słowa pieśni były jakby dla nas napisane; swojski motyw nuty uroczystej i wzniosłej, kołt piersi tak srodze przez nas samych poranione. Bartłomiej pierwszy upadł na kolana, za nim poszli inni, i popłynęła z ust naszych modlitwa szczerą i gorącą, a gdy doszliśmy do słów: « Odwróć od nas głód, mór ciężki, zachowaj od krwawej wojny », modliliśmy się z takim przejęciem, że słysząc nie słyszeliśmy, i widząc nie widzieliśmy, jak się podniósł Bartłomiej płaczący:

— Oj, nie usłyszycie Ociec litościwy — takiej modlitwy wielkiej z tej jaskini zapowietrzonej! Do Pana przestworzów niebieskich na przestworzu pomodlić się trzeba! zawołał i jak stał, wyszedł z pokoju.

Ale siły nasze już prawie wyczerpane, już nawet Babiński przestaje czasami śpiewać, i tylko usta otwarte i ręka takt wybijająca wskazują, że w duszy swej śpiewa on jeszcze, gdy za drzwiami rozlega się głos potężny, elektryzujący nas znowu:

Bóg się rodzi, moc truchleje!

To Bartłomiej przyprowadzony przez Eudoksję

«z przestworzów», wśród których zmarzłby niechybnie, kolenduje swym basem potężnym.

Nowe źródło, jeszcze dziś nietknięte, wytryska przed nami! A myśmy o niem zapomnieli?! Więc choć usta zaledwie poruszać się mogą, pijemy chciwie z nowej krynicy, i chór zgodny z nową siłą zawodzi pieśń nową. Radosna pieśń Narodzenia Pańskiego unosi nas znowu daleko za jakucką ziemię, nowym ogniem, ogniem wiary, ufności, i nadziei serca nasze rozpalając.

I modliliśmy się długo i gorąco; nawet Eudoksja, modlitwą naszą pociągnięta, weszła ku nam, ze świętym obrazkiem, biła przed nim poklony i powtarzała błagalnie: «Tangora! Aj, Tangora! Aj, Tangora, uruj» (Boże, wielki Boże, zmiłuj się).

Mařja KONOPNICKA

PRZED SĄDEM

(Obrazek)

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
 W których lży wielkie i srebrne wzbierały
 I gasły w rżęsach spuszczonech ku ziemi ;
 Błady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
 Że mógł rozplakać się i wołać : « Matko ! »
 Gdyby miał matkę ; i mógł stroić psoty,
 I pocałunków żądać i pieszczoty,
 I spać na piersiach ojca ; a tak drżący,
 Jak płak wyjęty z gniazda i już mrący,
 Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

*
 **

A dziwna to była sala sądowa :
 Wielka i pusta, i ciemna, i chłodna,
 I bezlitosna, i też ludzkich głodna,
 I nigdy dla nich nie mająca słowa
 Miłości bratniej, i taka surowa,
 Tak spiskująca ławkami w półkole
 Na ludzką nędzę i ludzką niedolę, —
 Że Chrystus biały, co stał tam, w pobliżu,
 Zdawał się cierpieć i drzeć na swym krzyżu.

*
**

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy ?
Chyba te wielkie dwie łzy co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą ;
Chyba dzieciństwo nędz pełne sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno wpadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

*
**

Wszedł sędzia, spojrzął i rzekł : « Gdzie rodzice ? »
— Nieznani, — odrzekł pan pisarz z powagą,
Chłopiec wzniosł zgasłe, błękitne źrenice,
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle, od jednego słowa,
Zjęło go zimno i pustka grobowa...
Sędzia zadumał się, pochylił czoła,
I spytał znówu : « Czy w wiosce jest szkoła ? »
— Nie. — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,
Przytem pytanie było jakoś dziwne...
Wahał się chwilę, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokule ;
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił zlekka po szarej bibule.

*
**

A sędzia patrzył na szarą dziecięcą,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne lachmany,
Na blask tych oczu zmacony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy ;

Na drobną główkę, gdzie myśl, glucho śpiąca,
 Nie znała światła innego prócz słońca,
 I innych wrażeń ożywczych prócz rosy.

**

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
 I w piersi uczył drzenie tajemnicze,
 Jakby ta sala pusta była tronem,
 Na którym przyszłość z czołem zachmurzonym
 Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
 I jakimś grzmiącym i ogromnym słowem
 Oblicza plony na polu jałowem,
 Przed sąd wzywając całe pokolenia...
 I widział jak szły gęste, ciemne tłumy
 I tamowały ruch globu w błękitcie...
 I spostrzegł, pełny trwogi i zadumy,
 Że były chmurą ogromną o świetle,
 Przez którą przebieć nie mogło się słońce,
 I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...
 Widział, że tłum ten — to siła, stracona
 Dla wielkich celów i dążeń ludzkości.
 I czytał w groźnym spojrzeniu przyszłości,
 Że chce rachunku z miljona...
 I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
 Za społeczeństwa swego cierpią winy;
 I przerażony — posłyszał w przestrzeni
 Sądy nad sprawą chlopczyni...

**

« Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
 Kto więcej winien : czy ten nieświadomy,
 Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi,
 Czy wy, co grube spisujecie tomy

Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi! »

Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał i szedł, gdzie pachole
Blade czekało na wyrok surowy,
I rzekł: « Pójdź, dziecię, ja cię uczyć każe! »

Le Gérant : WAGNER



Drukarnia I. Rirachowskiego, 50, Bd Saint-Jacques — Paris.



SPIS RZECZY

	Str.
1. Jan Henryk Dąbrowski	3
2. Powieść Wajdeloty	15
3. Dwie Modlitwy	29
4. Przed Sądem	59